W numerze nagrodzona nowela »Białe rękawiczki«

Cena 60 gr

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

W NUMERZE m. in.:
M. T. MILEWSKI — Ilu nas jest?
M. KONONOWICZ — Mam za złe
J. POLESZAK — Białe rękawiczki
Z. BEDNORZ — Kazanie zwycięskie
J. SZCZAWIŃSKI — O twórczości Włodzimierza Słobodnika
A. ODNOWA — Molier przeciw pięknoduchom

Rok VIII | Warszawa, 27 stycznia 1952 r. | Nr 4 (322)

Michał JAWOR

Zlekceważone ostrzeżenie

W OKRESIE gdy odbywa się w Oświęcimiu Międzynarodowy Zjazd byłych więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, gdy problem Norymbergi nabiera swoistego wyrazu w świetle ponawianych prób remilitaryzacji Niemiec pod amerykańskim protektoratem, zasługują na uwagę materiały dotyczące procesu odbytego w 1921 r. w Lipsku przeciwko niemieckim zbrodniarzom wojennym z pierwszej wojny światowej.

Wydaje się właściwe wydobycie z zapomnienia zarówno oskarżonych tamtego przewodu sądowego, jak poddanie analizie wyroków, które wówczas zapadały.

JEST rzeczą na ogół mało znaną i wiadomą niemal tylko specjalistom, że już po pierwszej wojnie światowej czynione były próby w kierunku ukarania popełnionych w jej czasie zbrodni wojennych. Próby te zakończyły się całkowitym niepowodzeniem, o którym najlepiej świadczy fakt, iż przeszły bez echa. Ale mimo to zasługują na uwagę z różnych względów; przypominano sobie o nich przede wszystkim w związku z koniecznością wymierzenia kary za to, czego dopuścił się hitleryzm w czasie drugiej wojny światowej.

Uderzające jest bowiem, jak niezwykłe analogie przeprowadzić można między zbrodniami imperializmu prusko-niemieckiego w pierwszej wojnie światowej i tym, czego świadkami byliśmy przed niewielu laty. Będziemy starali się wykazać, jak dalece zbrodnie wojenne wilhelmińskiego imperializmu były zwiastunami zbrodni imperializmu hitlerowskiego, jak dalece ten ostatni był w tej mierze jedynie „udoskonaleniem" systemu, tzn. doprowadzeniem go do ostatnich konsekwencji. Z tego punktu widzenia zbrodnie wilhelmińskie, w szczególności zaś procesy przed Trybunałem Rzeszy w Lipsku były strasznym ostrzeżeniem, zlekceważonym czy po prostu niedostrzeżonym przez ówczesny świat.

Ponieważ takie są cele niniejszych wywodów, ograniczamy się w nich niemal w zupełności do przypadków rozpatrzonych i osądzonych w Lipsku, po pierwszej wojnie światowej, pomijając ogół oskarżeń, wysuniętych przez aliantów pod adresem prusko-niemieckich zbrodniarzy.

Nie znaczy to — i nie chcielibyśmy tego wrażenia pozostawić czytelnikowi — iż omówione poniżej **przykłady** wyczerpują zbrodnie militaryzmu wilhelmińskiego i podnoszone przeciw nim oskarżenia.

Państwa sprzymierzone żądały zrazu wydania, celem osądzenia, około 900 osób, w tej liczbie najwyższych dostojników, zwłaszcza wojskowych, jak marszałkowie Hindenburg, Ludendorff i Mackensen, bawarski następca tronu ks. Ruprecht, admirałowie Tirpitz, von Capelle, Scheer, Hipper i Müller — i wielu innych. Rząd niemiecki uparcie odmawiał ich wydania. Natomiast wysunięto propozycję, aby oddać sprawę sądowi niemieckiemu. Alianci zgodzili się na to — tytułem próby — i specjalnemu senatowi karnemu Trybunału Rzeszy w Lipsku przekazano 45 spraw, w których udało się skompletować materiał dowodowy. Procesy miały charakter czysto niemiecki, zarówno pod względem osobowym — sędziowie, oskarżyciel, obrońcy — jak i prawnym: stosowano prawo materialne i przepisy proceduralne niemieckie. Udział aliantów w procesach ograniczał się do obecności specjalnych misji w charakterze obserwatorów.

PROCESY, o których mowa poniżej, odbywały się w Lipsku między połową maja a połową lipca 1921.

Zaczęto od spraw wysuniętych przez Anglików. Na pierwszym miejscu znalazły się trzy sprawy o znęcanie się nad jeńcami wojennymi.

Sierżant Karl Heynen oskarżony był o bicie i wymyślne znęcanie się nad podporządkowanymi mu angielskimi jeńcami wojennymi, których zmuszano do pracy w kopalniach węgla. Wzięci do niewoli Anglicy uznali, że jest to praca o charakterze militarnym i stawili opór, który złamany został przez Heynena przy użyciu brutalnej siły. Na tym jednak nie skończyło się — Heynen bił i kopał więźniów, gdzie i kiedy tylko mógł. W jednym wypadku doprowadził żołnierza angielskiego do pomieszania zmysłów, oblewając go przez czas dłuższy zimną wodą. Specjalnością Heynena było znęcanie się nad chorymi — tak na przykład żołnierza ze spuchniętą twarzą „leczył" z bólu zębów, bijąc go pięścią po twarzy.

Kapitan Emil Müller był komendantem obozu jeńców w okupowanej Francji. Oskarżenie przeciw niemu rozpadało się na dwie główne części: jedna dotyczyła warunków w samym obozie, druga — traktowania jeńców przez Müllera.

Za warunki w jakich znajdował się obóz, Müller niewątpliwie nie odpowiadał bezpośrednio; chociaż przyjmując komendę brał na siebie przynajmniej udział w odpowiedzialności. Rzekomo miał bardzo wiele uczynić dla poprawienia warunków obozowych i wykazać niezwykłą troskliwość o jeńców.

Na te twierdzenia dość swoiste światło rzuca fakt, iż Müller odnosił się do jeńców osobiście „w sposób niegodny człowieka", jak to stwierdził niemiecki trybunał. Nie rozstawał się z laską lub szpicrutą i bił każdego, kto mu się nawinął pod rękę, przy czym lubił czynić to z konia, najeżdżając na ofiarę i przewracając ją. Najeżdżał także konno na szereg jeńców ustawiony do apelu, bijąc kogo dosięgnął. Zdarzało mu się także — podobnie jak Heynenowi, kopać przewróconych na ziemię jeńców. Ciężko chorych posyłał przemocą do pracy. Za karę stawiano jeńców na słońcu, aż mdleli z wyczerpania. Do szczególnych rozrywek Müllera należało fotografowanie jeńców — np. wtedy, gdy korzystali z obozowej latryny.

Szeregowiec Robert Neumann — wraz z sierżantem Trienke, którego „nie udało się odnaleźć" — był strażnikiem jeńców pracujących w pewnej pomorskiej fabryce chemicznej. Zaobserwowano, że znęcanie się sprawiało mu szczególną przyjemność. Neumann starał się przede wszystkim zmusić jeńców do wytężonej pracy. Także i on — jak Heynen — wynalazł sobie szczególną ofiarę w osobie jednego z najsłabszych jeńców. Bił również szczególnie dotkliwie tych, którzy próbowali skarżyć się wyższym władzom.

Wśród spraw wytoczonych na wniosek francuski znalazło się jeszcze jedno oskarżenie przeciw komendantom obozu jeńców — i to znacznie poważniejszego kalibru. Inspektor obozu jeńców w Niederzwehren koło Kassel, generał w st. sp. Hans von Schack i komendant tego obozu, generał w st. sp. Benno Kruska, oskarżeni byli o rozmyślne spowodowanie śmierci z górą trzech tysięcy jeńców.

W obozie znajdowali się zrazu głównie Francuzi i Belgowie; późną jesienią 1914 roku przywieziono tam około tysiąca Rosjan. Jest rzeczą wiadomą, że na skutek bezrządu i korupcji panującej w armii carskiej oraz ogólnej nędzy i ciemnoty pod rządami carskimi, stosunki sanitarne w ówczesnym wojsku rosyjskim pozostawiały bardzo wiele do życzenia. Niemcy zdawali sobie sprawę, że zmieszanie w jednym obozie dotkniętych plagą wszy żołnierzy rosyjskich z ich sojusznikami będzie ostrą szykaną dla tych ostatnich. Ale właśnie dlatego — nie „mimo to", oczywiście! — już w październiku 1914 r. naczelne dowództwo armii niemieckiej wydało odpowiednie rozkazy i nastawało energicznie na ich wykonanie.

Skutki nie kazały na siebie długo czekać — w obozie wybuchła straszna epidemia duru plamistego, która właśnie pociągnęła za sobą śmierć trzech tysięcy ofiar.

Jako interesujący szczegół warto wspomnieć, iż zwłoki umarłych na zarazę przenoszono niekiedy w obozie na stołach jadalnych — które potem wracały do poprzedniego użytku. Sąd uznał to za usprawiedliwione wobec niedostatku noszy.

Należy przypuścić, że naczelne dowództwo armii niemieckiej działało w całkowitej świadomości swego celu, a Kruska był o nim powiadomiony zaraz po przysłaniu do obozu Rosjan i jeszcze przed wybuchem epidemii.

Podkreślanie analogii, jakie nasuwają się przy zbadaniu tej pierwszej „obozowo-jenieckiej" serii procesów lipskich jest właściwie natrętnym stawianiem kropki nad „i". Neuman i Heynen, to typy ludzkie czy raczej trochę pod-ludzkie, znane każdemu więźniowi obozu hitlerowskiego: brutalni, niezbyt wyrafinowani, ale tym okrutniejsi sadyści, znajdujący szczególne zadowolenie w znęcaniu się nad najsłabszymi spośród ofiar. Bardziej wymyślne środki znęcania się, jak np. owo oblewanie zimną wodą, były również „przyjęte" w hitlerowskim obozie.

Komendanta Müllera nie potrzeba byłoby aż tak dokładnie nawet opisywać byłym więźniom Majdanka, aby każdy z nich wykrzyknął: „Thumann!" Niczego tu nie brak do sylwetki Hauptsturmführera Thumanna, komendanta Majdanka: ani szczególnie brutalnego stosunku do chorych, ani szpicruty, którą Thumann wybił kiedyś oko więźniowi, ani najeżdżania koniem na ludzi... Analogie, jak widzimy, są chwilami wręcz oszałamiające.

O bezczeszczeniu zwłok nie ma co nawet wspominać. Jeżeli Müller, lub jego następca zdzierali całun ze zwłok jeńca i wrzeszczeli, że „Anglik może być chowany nago" — to w obozie hitlerowskim nikt nie potrzebował niczego zdzierać, ani wrzeszczeć. Należało do ustalonego porządku rzeczy, że nagie trupy wleczono do krematorium, jak drzewo.

(Dokończenie na str. 4)

Ks. Dziekan Jan Czuj w rozmowie z delegatami niemieckim na Zjazd Wrocławski
(do artykułu na str. 2-giej)

ECHA WROCŁAWIA

CZYTELNICY nasi znają przebieg wspaniałej Manifestacji Duchowieństwa i Działaczy Katolickich przeciw remilitaryzacji Niemiec zachodnich, która odbyła się 12 grudnia ub. r. we Wrocławiu. W sprawozdaniach naszych podkreślaliśmy duże znaczenie tej Manifestacji tak w sensie wewnętrzno-polskim jak i międzynarodowym. Okazało się, że ocena nasza była słuszna.

Głos katolicyzmu polskiego dotarł wszędzie. Dotarł do Rzymu, do katolików krajów zachodniej Europy, do Ameryki i do wszystkich Polaków zagranicą a przede wszystkim — co najważniejsze — dotarł do Niemiec. Rzecz jasna, głos ten z różnym spotkał się przyjęciem. Wrogowie, jak np. szowiniści niemieccy czy radio Madryt, mieli jeszcze raz okazję zademonstrować swą nienawiść do tego wszystkiego, co służy sprawie pokoju i bezpieczeństwa Polski. Przyjaciele z Niemiec, z Francji, z Włoch i z innych krajów zareagowali żywo, widząc w Manifestacji Wrocławskiej element wzmacniający ich wysiłki w walce o sprawiedliwość i pokój.

W dzisiejszym numerze naszego pisma mamy okazję zapoznać Czytelników z paroma wypowiedziami naszych przyjaciół niemieckich. Zwracamy uwagę, że wypowiedzi te pochodzą i z Niemieckiej Republiki Demokratycznej i z Niemiec zachodnich, czyli z terenu, na którym ważą się obecnie losy pokoju świata. Lektura wypowiedzi niemieckich jest przekonywającym dowodem, jak dobrze tego rodzaju publiczne akty, jak Zjazd Wrocławski, służą sprawie pokoju między narodami, sprawie bezpieczeństwa Polski i prawdziwym interesom katolicyzmu polskiego.

Prawdziwa przyjaźń nie zna granic

Sekretarz Generalny C.D.U. Gerard Goetting udzielił po powrocie z Polski przedstawicielowi „Neue Zeit" wywiadu, w którym opowiada o swoich wrażeniach i podkreśla jakie znaczenie ma ten zjazd dla wspólnej walki o pokój.

Oto fragmenty wywiadu, które mogą zainteresować polskich czytelników:

Pytanie: Bawił Pan kilka dni w Polsce jako kierownik delegacji C.D.U. na kongres katolików polskich, wyrażający protest przeciwko remilitaryzacji i rewizjonizmowi w Zachodnich Niemczech. Z jakiej okazji zwołano ten kongres i jaka organizacja nim się zajęła?

Odpowiedź: Wobec remilitaryzacji Zachodnich Niemiec i związanych z tym planów odwetu przeciw Polsce Ludowej zgromadzili się katoliccy duchowni i świeccy we Wrocławiu, aby protestować przeciw zagrożeniu pokoju, a z drugiej strony wyciągnąć rękę bratnią do chrześcijan w Zachodnich Niemczech dla wspólnej obrony pokoju. Komitet organizacyjny tego zebrania zaprosił niemiecką delegację. Delegacja ta była przede wszystkim gościem grupy postępowych katolików, skupionych wokół „Dziś i Jutro", którzy już w czasie berlińskiego festiwalu młodzieży przez swoich przedstawicieli nawiązali przyjacielskie związki z naszą partią.

Pytanie: Jakie znaczenie przypisuje Pan temu kongresowi?

Odpowiedź: Jest faktem nadzwyczajnej wagi, że we Wrocławiu znalazło się blisko dwa tysiące duchownych, profesorów i świeckich, którzy w poczuciu narodowego obowiązku wnieśli protest przeciwko remilitaryzacji Zachodnich Niemiec, przeciw rewizjonizmowi i przeciw tym chrześcijanom, którzy dzisiaj — świadomie czy nieświadomie — przykładają rękę do przygotowań trzeciej wojny światowej. Dla tych polskich chrześcijan wspólna wiara chrześcijańska jest poważnym zobowiązaniem aby zachować i wzmacniać pokój wewnętrzny, jako też pokój w Europie i między wszystkimi ludźmi.

Pytanie: Jakie są ogólne wrażenia Pana z przyjęcia w kole polskich chrześcijan i polskiej ludności?

Odpowiedź: Nadzwyczajne wrażenie wywarło na nas przyjazne przyjęcie, którego doznaliśmy u katolików polskich, i również życzliwe echo naszego pobytu na kongresie. Już aplauz przy pierwszych słowach powitania był dowodem, jak poważnie i serdecznie pragnie się przyjaźni z demokratycznymi Niemcami. Po wszystkich strasznych cierpieniach, które ściągnął faszyzm na polską ludność, było to dla nas przeżyciem szczerej przyjaźni, wielkim darem. Jeden z polskich przyjaciół, którego odwiedziłem, pokazał mi fotografię swej rodziny i opowiadał, że faszystowscy Niemcy okrutnie wymordowali dwudziestu jego najbliższych krewnych. Zaraz potem jednak powiedział mi, że był jednym z pierwszych, którzy w prasie wypowiedzieli się na rzecz polsko-niemieckiej przyjaźni. Polski naród umie dziś bardzo dobrze odróżnić faszystów od niemieckiego narodu. Wszędzie wyczuwaliśmy wyraźnie szczerą gotowość Polaków do zapomnienia o grozie okupacji i szukania rzetelnego porozumienia z niemieckim narodem.

Pytanie: Jak słyszałem odwiedził Pan też faszystowski obóz koncentracyjny w Oświęcimiu, jakie wrażenia wyniósł Pan stamtąd?

Odpowiedź: Odwiedziliśmy obóz zniszczenia w Oświęcimiu. Brak mi słów, by opisać straszliwe wrażenie. Spalono tam i zagazowano ponad 4 miliony ludzi. Wstrząsnął nami głęboko widok resztek niepojętego panowania terroru, np. odzieży trupów, dziecięcych bucików i włosów 39.000 tysięcy kobiet. Umocniło nas to w stanowczym postanowieniu jednoczenia wszystkich ludzi dobrej woli w walce o pokój, aby udaremnić na wieczne czasy powtórzenie się takich zbrodni faszyzmu.

Pytanie: Czy miał Pan okazję zwiedzić inne miasta Polski? Jakie były Pana wrażenia?

Odpowiedź: Mieliśmy okazję zwiedzić stare miasto polskie Kraków. Z podziwem stanęliśmy przed ołtarzem wielkiego rzeźbiarza Wita Stwosza, wybitnym dziełem sztuki, które jest świadectwem rzetelnego realizmu chrześcijańskiego ubiegłych wieków. Cześć i miłość, którymi otacza lud polski swe narodowe świętości i pomniki kultury, była wymownym dowodem, że nowy społeczny porządek demokracji ludowej wykazuje zrozumienie dla kulturalnych tradycji narodu i niesfałszowanej jego spuścizny.

Pytanie: U nas w N.R.D. „warszawskie tempo" stało się popularnym określeniem. Jakie wrażenie zrobiła na Panu odbudowa polskiej stolicy?

Odpowiedź: W tempie zapierającym oddech rosną na gruzach, które w starej Warszawie zostawili faszystowscy bandyci, równając miasto z ziemią, nowe budowle, nowe ulice, nowe mosty, nowe gmachy. Warszawa powstaje w niepojęty sposób: zabytki historyczne harmonijnie zespalają się z nowoczesnym budownictwem. Warszawa nie jest jednak stolicą warstw wyzyskujących, lecz stolicą republiki ludu. Polscy pracownicy wiedzą dla kogo odbudowuje się ich dom piękniej, niż kiedykolwiek: dla nich i dla ich dzieci. Poczucie tego daje im siłę do przezwyciężenia przeszkód, daje ów rozmach pozwalający sprostać zadaniom odbudowy.

Przekonany jestem, że właśnie w zakresie odbudowy i budownictwa wymiana doświadczeń między fachowcami i robotnikami obu narodów nadzwyczajnie się przyczyni do odbudowy naszej republiki, zwłaszcza niemieckiej stolicy

Pytanie: Jakie będą zdaniem Pana następstwa wizyty delegacji CDU w Polsce w dziedzinie dalszego pogłębienia łączności między postępowymi chrześcijanami obu krajów i dla polsko-niemieckiej przyjaźni?

Odpowiedź: Chrześcijanie w Niemczech i w Polsce związani są mocno w walce o pokój przez wspólne cierpienia w przeszłości, przez wspólną pracę w teraźniejszości i jednakie cele na przyszłość. Mieliśmy w ostatnich latach sposobność wielokrotnie witać u nas polskich przyjaciół. Nasz pobyt w polskiej republice ludowej był nowym dowodem, że walczący o pokój ludzie podają sobie dłonie poprzez granice państw i narodów, aby zbudować lepszy, szczęśliwszy świat.

Echo odwiedzin naszych w zaprzyjaźnionym kraju sąsiedzkim winno sprowadzić chrześcijan Zachodnich Niemiec do opamiętania i nawrócić ich z drogi, która prowadzi do nowych, niezmierzonych cierpień narodów Europy i całego świata.

Narody polski i niemiecki wspólnie stoją w światowym obozie pokoju i będą broniły pod kierownictwem ZSRR sprawy pokoju przeciw zamachom sił imperialistycznych. Za szczególny symbol należy uznać fakt, że polski kongres chrześcijan wypadł w grudniu, który jest dla nas chrześcijan miesiącem uprzytomnienia boskiej obietnicy pokoju na ziemi. Musimy przyczynić się wszyscy, by spełniła się ta obietnica w dobie przełomu nowego świata.

Bratnia ręka polska

Wilhelm Karol Gerst, jeden z uczestników niemieckiej delegacji na kongres we Wrocławiu, katolik z Niemiec Zachodnich, ogłosił w Berliner Zeitung artykuł, którego fragmenty podajemy poniżej.

W NIEMIECKIEJ delegacji, którą bardzo honorowano, znajdował się tylko jeden katolik z Zachodnich Niemiec. Nie chce on sobie przypisać zaszczytu zaproszenia ani serdeczności, z jaką go przyjęto. Poczytuje je za wyraz przyjaznych uczuć, które duchowieństwo i wierni w Polsce żywią dla wszystkich katolickich przyjaciół pokoju w Zachodnich Niemczech, dla katolików świeckich i duchownych oraz dla wszystkich miłujących pokój w Zachodnich Niemczech. Jest szczęśliwy, że dane mu było stać się odbiorcą tych dowodów przyjaźni.

Czy w ostatnich latach dotarły z Zachodnich Niemiec do Polski podobne słowa i objawy przyjaźni? Znane jest powszechnie bohaterstwo katolickiego duchowieństwa w Polsce w czasie nazizmu, setki męczenników spośród duchownych ginęło w obozach. Czy wyszło w Niemczech Zachodnich spod katolickiego pióra jedno dzieło, które by opisało cierpienia i heroizm polskiego narodu? Nie, natomiast można w dziennikach i pismach wciąż czytać sprawozdania z Polski pełne jadu i kłamstwa. Zachodnioniemiecki rząd dopuścił do tego, że wystawy propagujące niemiecko-polską przyjaźń, w których ukazana była także działalność katolicka, demolowane były ręką łobuzów, w niektórych zaś miejscowościach zostały po prostu udaremnione przez policję. Nie pragnie się wiarogodnych sprawozdań z nowej Polski, przede wszystkim zaś nie chce się rozszerzania prawdy o sytuacji Kościoła w Polsce.

Żaden polski ksiądz nie stanie w służbie nowego napastnika jako kolaboracjonista w walce przeciw swemu narodowi i przeciw swemu Kościołowi. Nie uczyni tego dziś, a tym mniej w wypadku próby narzucenia nowych granic gwałtem. Trzeba, aby w Bonn o tym wiedziano. Przedstawiciele duchowieństwa przemawiający na konferencji wrocławskiej wyrazili to jednoznacznie i jednomyślnie.

We wszystkich przemówieniach powtarzało się wezwanie do katolickich braci w Zachodnich Niemczech: słuchajcie naszego głosu! Porzućcie remilitaryzację i rewizjonizm: Pozwólcie nam żyć w pokoju i przyjaźni! Znany z historycznych powieści pisarz Jan Dobraczyński wołał: „Wierzymy, że na podstawach chrześcijańskiej nauki możliwą jest wieczna przyjaźń między Polakami a Niemcami. Najważniejszą w Chrystusowej Nauce jest miłość bliźniego, zainteresowanie i zrozumienie dla wszystkich innych ludzi; w imię tego chcemy walczyć. Dajcie nam możność spotkania! Dajcie sposobność rozmowy, wspólnej narady".

Wzruszony głęboko tylu objawami katolickiej miłości i pokojowości a zarazem świadom swej bezradności i niemożności spowodowania słusznej i rzetelnie katolickiej odpowiedzi z Zachodnich Niemiec, jedyny gość stamtąd zwrócił się wieczorem do Ekscelencji wikariusza Kapituły ks. Lagosza. Poprosił go, by zjazdową rezolucję dał mu z odręcznym listem do przewielebnego kierownika ruchu „Pax Christi" w Niemczech Zachodnich, sugerując mu spotkanie między niemieckimi a polskimi katolickimi przyjaciółmi pokoju.

Wolno nam wyrazić nadzieję, że krok taki wyzwoli tam czynny ruch pokoju, umocniony węzłem przyjaźni z milionami polskich katolików i ponadto z katolickim ruchem pokoju innych krajów. Jest to więcej jak nadzieja. Jest to żądanie, gorące pragnienie zrodzone z głębokiej troski o przyszłość chrześcijańskich narodów i tych wszystkich ludzi, których kataklizm trzeciej wojny światowej w Europie musiałby wtrącić w nieopisaną nędzę. Noc Bożego Narodzenia zapowiada pokój wszystkim ludziom dobrej woli. Muszą oni zdobyć się na dobrą wolę, a pokój będzie uratowany.

Zgon Jerzego Borejszy

DNIA 19 stycznia br., po długotrwałej chorobie zmarł w Warszawie długoletni działacz komunistyczny, wybitny publicysta i działacz kulturalny — Jerzy Borejsza.

Jerzy Borejsza urodził się 14 lipca 1906 r. w Warszawie. Do walki w szeregach ruchu robotniczego przystąpił w r. 1927, a w roku 1929 został członkiem Komunistycznej Partii Polski. Pracował w Wydziale Propagandy i Agitacji Komitetu Warszawskiego KPP oraz pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji w komitetach dzielnicowych Partii na Woli, Mokotowie i w Warszawie — Podmiejskiej. Pracował również w redakcji centralnej KPP i w Centralnym Wydziale Zawodowym.

Jerzy Borejsza obdarzony wybitnym talentem publicystycznym, rozwijał w owym czasie żywą działalność prasową i pisarską. W latach 1936 — 1939 występował wielokrotnie na łamach prasy w obronie Republiki Hiszpańskiej. Brał aktywny udział w walce o utworzenie ludowego frontu obrony praw mas pracujących i niepodległości Polski zagrożonej przez hitlerowski imperializm. Za swą rewolucyjną działalność był prześladowany przez władze sanacyjne.

Po wybuchu wojny Jerzy Borejsza znalazł się na emigracji w ZSRR. Od r. 1942 walczył przeciw najeźdźcom hitlerowskim w szeregach Armii Radzieckiej na froncie kalinińskim. Za zasługi swe został odznaczony Orderem „Czerwonej Gwiazdy". Od chwili powstania Związku Patriotów Polskich, następnie od chwili utworzenia I Dywizji Wojska Polskiego Jerzy Borejsza oddaje wszystkie swe siły sprawie walki o Polskę Ludową. Był oficerem I Dywizji Wojska Polskiego. Pracował w redakcji organu ZPP „Wolna Polska" i „Nowe Widnokręgi".

Po wyzwoleniu kraju Jerzy Borejsza staje się jednym z najczynniejszych organizatorów życia kulturalnego Polski Ludowej. Był założycielem i prezesem spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" oraz pełnomocnikiem rządowym dla zorganizowania „Ossolineum". Wraz z grupą najwybitniejszych intelektualistów polskich i zagranicznych organizował w r. 1948 I Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu, który odegrał poważną rolę w rozwoju światowego ruchu pokoju.

Kongres Zjednoczeniowy w grudniu 1948 r. wybrał Jerzego Borejszę na zastępcę członka Komitetu Centralnego PZPR. Wyrazem uznania jego zasług dla Polski Ludowej było odznaczenie go Krzyżem oficerskim i Krzyżem komandorskim Orderu „Polski Odrodzonej".

Zdrowie Jerzego Borejszy w ciągu ostatnich lat zostało podkopane przez ciężką chorobę raka żołądka i przewodu pokarmowego.

Mimo choroby nie przerywa jednak pracy publicystycznej i pisarskiej. Do ostatnich chwil pracował nad szeregiem własnych utworów i nad przekładem na język polski wielkiego poematu Pablo Nerudy.

Jerzy Borejsza był ofiarnym bojownikiem, oddanym sprawie socjalizmu i pokoju.

×

W związku ze śmiercią wybitnego działacza społecznego i kulturalnego Jerzego Borejszy, Prezydium Rady Ministrów postanowiło, aby pogrzeb jego odbył się na koszt Państwa. Żonie i synowi Zmarłego Prezydium R. M. przyznało zaopatrzenie.

Mateusz T. MILEWSKI

I L U N A S J E S T ?

W związku z konferencją gospodarczą, która odbędzie się w Moskwie w początkach kwietnia r. b. rozpoczynamy druk cyklu artykułów M. T. Milewskiego, w których autor poruszy problemy wyżywienia ludności Ziemi.

Redakcja

KAŻDY, kto chce stworzyć sobie względnie prawdziwy obraz ludności Ziemi, musi pamiętać o tym, że dane statystyczne jakie posiadamy do tego celu, są ciągle zupełnie niewystarczające. Pierwsze spisy ludności zapoczątkowano dopiero w końcu XVIII wieku, a dzisiaj dane statystyczne, które pozwalają na ścisłe badania liczb ludności, i zmiany jakie nieustannie w tych liczbach zachodzą, obejmują zaledwie 1/4 ludności Ziemi.

Dane dotyczące reszty ludności przedstawiają całą gamę różnic, od względnie dokładnych aż do hipotez, opartych na badaniach różnymi metodami pośrednimi. Stąd też rozpatrywanie zagadnienia ludności Ziemi tylko jako całości może dać zupełnie fałszywy obraz rzeczywistości. Robienie daleko idących obliczeń matematycznych, wyciąganie daleko idących wniosków dotyczących tylko całej ludzkości prowadzi nieuchronnie na manowce.

Badając zagadnienia demograficzne należy pamiętać, że każdy kontynent, kraj, miasto, każda najmniejsza wioska a nawet każda rodzina to odrębny problem i proces demograficzny. Na liczbę ludności każdego, nawet najmniejszego obszaru geograficznego należy patrzeć jako na splot procesów demograficznych, gospodarczych i społecznych, zachodzących na tle środowiska geograficznego i jego potencjału cywilizacyjnego w ich ścisłym związku i wzajemnych zależnościach i oddziaływaniach.

I to jest jedyna droga do wyciągania logicznych wniosków. Rozważania i wyciąganie wniosków na podstawie tylko jednego elementu prowadzą do absurdu.

Ludność Ziemi jest zjawiskiem w wysokim stopniu dynamicznym i znacznie bardziej skomplikowanym niż się to na pozór wydaje. Na podstawie materiałów posiadanych w chwili obecnej, na podstawie bardzo sumiennej analizy, po latach żmudnej pracy demografowie wielu krajów opanowali już zagadnienie w skali regionalnej. Do syntezy w skali globalnej będą może zdolni kiedyś, w przyszłości, kiedy będziemy posiadali dokładne statystyki dotyczącej całej ludzkości.

Niemniej jednak jakkolwiek niedokładne dane posiadamy, liczba ludności Ziemi i procesy demograficzne, jakie się na nią składają, mogą być przedmiotem badań i rozważań. Pewne wnioski i uogólnienia są nie tylko wskazane ale nawet konieczne, ponieważ pozwalają nam na obiektywną ocenę innych problemów, które mamy dzisiaj do rozwiązania, z których problem wyżywienia uważamy za najważniejszy. Wnioski i uogólnienia mogą jednak być formułowane dopiero po uwzględnieniu wszystkich zastrzeżeń jakie zrobiliśmy powyżej, i wszystkich informacji jakie podajemy poniżej.

W pierwotnym okresie swoich dziejów rodzaj ludzki wzrastał w liczbę niesłychanie powoli. Przyjmuje się, że w okresie początków uprawy roli ludność Ziemi nie przekraczała zapewne kilku milionów. Na podstawie bardzo mozolnych a może niezbyt wiarogodnych obliczeń przypuszcza się, że około 4.000 lat przed Chrystusem, kiedy rolnictwo osiągnęło już pewien poziom, liczba mieszkańców globu wahała się od 20 do 40 milionów. Około 1 000 lat przed Chrystusem dochodzi do 100, a w okresie Imperium Rzymskiego do 200 milionów.

Pierwszy gwałtowny skok we wzroście liczby ludności następuje w okresie Rewolucji Przemysłowej i towarzyszącej jej Rewolucji Demograficznej. Ponieważ Rewolucja Przemysłowa zaczęła się w Europie, tutaj ma miejsce pierwszy gwałtowny przyrost naturalny, a dopiero później przenosi się na inne kontynenty. Przedtem jednak następuje zjawisko niespotykane dotychczas w dziejach świata: w ciągu 100 lat od końca Wojen Napoleońskich do wybuchu pierwszej wojny Światowej około 50 milionów ludzi opuściło starą Europę udając się na nowe kontynenty, głównie do Ameryki Płn. Niżej podana tablica przedstawia wzrost ludności Ziemi na różnych kontynentach za okres 350 lat.

Prawdopodobny wzrost liczby ludności Ziemi w milionach na różnych obszarach geograficznych w latach 1650 — 2000.

Kontynent	Lata						
	1650	1750	1800	1850	1900	1950	2000
Europa i cały obszar ZSRR	100	140	187	266	401	590	700
U. S. A. i Kanada	1	1	6	23	81	165	175
Ameryka Łacińska	12	11	19	33	63	162	300
Azja	330	479	602	749	937	1272	1800
Afryka	100	95	90	95	120	198	275
Oceania	2	2	2	2	6	13	20
Cała Ziemia	545	728	906	1171	1608	2400	3270

PRZYROST NATURALNY

NAJCIEKAWSZE wnioski jakie możemy wyciągnąć z tego zestawienia to przede wszystkim to, ze skala przyrostu w czasie i przestrzeni jest różna dla każdego kontynentu; że w ujęciu globalnym skala ta rośnie stale i bez przerwy: przeciętna roczna skala przyrostu naturalnego wynosiła w latach:

1650	— 1750	—	0,29%
1750	— 1800	—	0,44%
1800	— 1850	—	0,51%
1850	— 1900	—	0,53%
1900	— 1950	—	1,00%.

Żyjemy w czasach kiedy liczba ludności Ziemi podwaja się w okresie około 100 lat; co rok przybywa na Ziemi około 24 miliony ludzi, czyli tyle ile liczy cały naród Polski; jeżeli przyjmiemy, że rocznie umiera 60 milionów ludzi, to na ich miejsce rodzi się 84 miliony; co tydzeń przybywa na Ziemi pół miliona nowych konsumentów; przed końcem bieżącego stulecia ludność Ziemi może przekroczyć liczbę 3 miliardów.

Nie tylko liczba ludności Ziemi ale każdej większej grupy społecznej zmienia się nieustannie. Z demograficznego punktu widzenia czynnikami decydującymi o tych zmianach są rozrodczość i śmiertelność, czyli ilość urodzeń i zgonów na 1.000 mieszkańców w ciągu roku. Wszystkie inne czynniki biologiczne, socjalne i gospodarcze wpływają na nieustanne zmiany liczb tylko za pośrednictwem tych dwóch czynników decydujących. Dlatego aby poznać przyczynę przyrostu naturalnego czyli różnicy między rozrodczością i śmiertelnością całej ludności Ziemi i każdej jej części, należy przede wszystkim badać zmiany, jakim nieustannie podlegają współczynniki urodzeń i zgonów, a więc i ich rezultat — przyrost naturalny.

Badając te zjawiska w perspektywie czasu i przestrzeni stwierdzamy ponad wszelką wątpliwość, że spadek śmiertelności jest najważniejszą i decydującą przyczyną przyrostu naturalnego. W czasach nowożytnych nie stwierdzono żadnego wartego wspomnienia dowodu wzrostu spółczynnika urodzeń. Wprost przeciwnie — istnieje nieskończona ilość dowodów, że rozrodczość spada w miarę postępu cywilizacji. Spada jednak również i śmiertelność, i ten spadek z reguły poprzedza spadek rozrodczości. Tam, gdzie śmiertelność zaczyna spadać wcześniej i szybciej niż rozrodczość, następuje gwałtowny przyrost naturalny. Tam gdzie rozrodczość z kolei spada do poziomu albo poniżej śmiertelności następuje zahamowanie albo ujemny przyrost naturalny. Proces ten osiągnął punkt kulminacyjny we Francji w roku 1935, kiedy zarejestrowano 659.000 zgonów a na ich miejsce tylko 641.000 urodzin.

Przyrost naturalny ludności jest jednym z najbardziej decydujących czynników w układzie politycznym świata. Hierarchia i potęga państw i narodów, ich możliwości ekspansji politycznej, gospodarczej, kulturalnej i społecznej są w wysokim stopniu uzależnione od dynamiki przyrostu naturalnego ich ludności. Od tego czy naród jest młody, prężny i dynamiczny, czy też minął już szczytowy punkt swego rozwoju. Historia polityczna Europy nabiera innej barwy jeśli spojrzymy na nią przez pryzmat demografii. W latach 1948—49 najwyższy przyrost naturalny miały kraje: Wenezuela — 30,8; Costa-Rica — 29,2; półwysep Malajski — 28,6; natomiast najniższy: Austria — 3,2; Anglia — 5,1 i Niemcy — 6,4.

Załączona tablica jest próbą przedstawienia dziejów dwustu lat procesów demograficznych w sześciu krajach posiadających najlepsze statystyki ludności. Sporządzona ona została na podstawie danych pochodzących z tych właśnie krajów.

Prawdopodobne zmiany liczby ludności w milionach 6 krajów w latach 1800 — 2000

Kraj	Lata					
	1800	1850	1900	1950	1975	2000
Rosja — ZSRR	39	61	109	200	265	350
Francja	28	36	41	42	37	32
Niemcy	25	36	56	69	65	56
Włochy	18	24	32	46	50	48
Wielka Brytania	10	21	37	49	44	38
Stany Zjednoczone	5	23	76	152	160	160

Liczby tej tablicy pozwalają na obserwację charakterystycznego cyklu rozwojowego przez jaki przechodzi większość narodów świata, w którym spadek rozrodczości goni spadek śmiertelności. Dla stworzenia sobie bardziej prawdziwego obrazu rzeczywistości trzeba zrobić ściśle teoretyczne założenie wyłączenia wszelkich ruchów migracyjnych, które zrobiliśmy jedynie odnośnie dat przyszłości. Rozumie się samo przez się, że w praktyce takie wyłączenie jest niemożliwe. Każdy kraj, którego liczba ludności zacznie spadać, będzie „importował" ręce do pracy dla utrzymania przy życiu swego organizmu gospodarczego. Zjawisko to od dawna rozpoczęło się już we Francji, a w zdecydowanej formie wystąpiło po pierwszej wojnie światowej.

W dobie obecnej około 73% ludności Ziemi, czyli około 1.868 milionów zamieszkuje Eurazję, jądro wszystkich lądów naszej planety stanowiące 36% ogólnej ich powierzchni. Pozostałe 22% ludzkości żyje na kontynentach peryferycznych. Afrykę — 20% ogólnej powierzchni lądów, zamieszkuje 8% ludności; Amerykę Północną — 16% powierzchni — 9% ludności; Amerykę Południową — 12% lądów — 4,5% ludności; wreszcie Australia — 6% powierzchni lądów — zamieszkała jest tylko przez 0,5% ludności Ziemi.

Jeżeli powierzchnię globu podzielić na dwie półkule — wchodnią i zachodnią, tak jak widzimy to na mapach szkolnych, na „Stary Świat" czyli półkulę wschodnią przypada 72% powierzchni lądu i 87% ludności Ziemi. Na „Nowy Świat" — obydwie Ameryki razem wzięte — 28% lądów i 13% ludności.

Mapa gęstości zaludnienia Ziemi ukaże nam jeszcze większe kontrasty: 90% ludności Ziemi tłoczy się na 1/4 ogólnej powierzchni lądów; pozostałe obszary są albo zbyt suche albo zbyt wilgotne, zbyt gorące lub zbyt chłodne, aby wyżywić większe masy ludzkie. Ta sama mapa ukazuje wyraźnie 4 największe skupiska ludzkie: trzy na krańcach Eurazji, czwarte na wschodnim wybrzeżu Ameryki Północnej.

Klimatycznym przywilejem Azji Południowo-Wschodniej są monsumy, przynoszące rolnikowi letnie deszcze z oceanów Indyjskiego i Spokojnego. Obszary te od najdawniejszych czasów zwabiły ku sobie ludzi. Indie oraz Chiny i Japonia stanowią dwa największe oraz kulturalnie najstarsze z centrów zagęszczenia ludności. Na obszarze stanowiącym około 10% ogólnej powierzchni lądów stłoczyło się tutaj połowa ludności Ziemi. Trzecim ośrodkiem, mniejszym i cywilizacyjnie młodszym jest Europa. Na terenach około 7% powierzchni lądów, a uprzywilejowanych wiatrami zachodnimi niosącymi wilgoć z Atlantyku, osiadło 25% ludności globu. Wreszcie czwarty, najmniejszy i najmłodszy, bo ledwie 300 lat temu zapoczątkowany, to wschodnie Stany Ameryki Płn., teren stanowiący około 2% ogólnej powierzchni, zamieszkały przez 6% całej ludności Ziemi.

Ilość mieszkańców na 1 km², czyli gęstość zaludnienia poszczególnych krajów przedstawia całą gamę zjawisk: Australia i Kanada — 1; Borneo — 4; Argentyna i Brazylia — 6; ZSRR — 10; Meksyk — 12; Szwecja — 15; U. S. A. — 19; Sumatra — 23; Kuba — 44; Francaj — 71; Polska — 73; Dania — 95; Szwajcaria — 112; Chiny — 118; Włochy — 153; Japonia — 223; Wielka Brytania — 211; Porto-Rico — 240; Belgia 282; Holandia 300; Jawa — 400

Załączona mapa gęstości zaludnienia Europy ukazuje kontrasty występujące na obszarze poszczególnych krajów. Jeszcze większe kontrasty znajdziemy badając mapy innych kontynentów.

Rozmieszczenie ludności na powierzchni całej planety jak i na każdej najmniejszej jej części jest fe-

(Dokończenie na str. 11)

GĘSTOŚĆ ZALUDNIENIA

DZISIEJSZY stan rozmieszczenia ludności na powierzchni ziemi jest wypadkową wzajemnego oddziaływania na siebie całego szeregu czynników geograficznych, rezultatem niezmiernie złożonych i nawzajem powiązanych procesów demograficznych, gospodarczych i społecznych. Czynnikom tym człowiek pierwotny podlegał bezwolnie, człowiek cywilizowany coraz bardziej opanowuje je i podporządkowuje swej woli. Spośród czynników demograficznych najważniejsze są dwa, nierozerwalnie ze sobą związane: przyrost naturalny i migracje lądowe i morskie w poszukiwaniu nowych terenów osiedlenia i nowych możliwości zdobycia pożywienia. Całokształt wszystkich tych czynników i procesów składa się na gęstość zaludnienia, czyli na stosunek ilości mieszkańców do powierzchni obszaru przez nich zajętego, albo jeszcze inaczej ilość mieszkańców na 1 km². Ponieważ jednak procesy te trwają od tysięcy lat bez przerwy gęstość zaludnienia jak również rozmieszczenie poszczególnych ras i narodów podlega nieustannym zmianom.

ZLEKCEWAŻONE OSTRZEŻENIE

U wszystkich trzech nadzorców, u Heynena, Müllera i Neumanna, mamy moment **zmuszania do wytężonej pracy.** Heynenowi powierzono zmuszanie jeńców — bez przebierania w środkach — do pracy w kopalni jakiegoś magnata węglowego. Müller pędził ciężko chorych do prac dla wojska. Wreszcie Neumanna w fabryce w Pommerensdorf „wołano często do pomocy, kiedy zawiodły inne środki. Przydzielano mu leniwych jeńców, ponieważ on jeden zabierał się do nich energicznie".

Nic dziwnego przeto, że inspektor fabryki Erdmann wyrażał się w sądzie o Neumannie z najwyższym uznaniem — i podkreślał, że Neumann nie tknął nigdy jeńca, który porządnie pracował.

Było rzeczą powszechnie znaną w obozach hitlerowskich, że prywatne firmy kapitalistyczne, korzystające z pracy więźniów, kupowały sobie szczególną gorliwość nadzorców w zapędzaniu więźniów do wytężonej pracy nad siły. Przypuszczenie podobnego przekupstwa w przypadku Neumanna jest całkowicie dozwolone — jakkolwiek oczywiście sąd niemiecki pominął tę kwestię najzupełniejszym milczeniem i gorliwość Neumanna w zmuszaniu jeńców do pracy potraktował jako okoliczność łagodzącą, a raczej jako dowód świadczący przeciw jego okrucieństwu.

Zestawiając przy tym obozy, w których „działali" Heynen, Müller i Neumann z obozem Kruski w Niederzwehren - Kassel, mamy tu już dwa zasadnicze typy przyszłych obozów hitlerowskich: „Arbeitslager", obozy pracy, których zasadniczym przeznaczeniem było eksploatowanie pracy więźniów — i „Vernichtungslager", obozy unicestwienia, którym za cel stawiano wyłącznie pozbawienie życia jak największej liczby więźniów. Obóz Müllera we Flavy-le-Martel należał przy tym właściwie do trzeciego, pośredniego typu, również znanego za czasów hitlerowskich: do obozów, gdzie unicestwiała ludzi szczególnie ciężka i szkodliwa praca i warunki obozowe. Przykład z czasów hitlerowskich stanowić mogą np. dwie filie K. L. Gross-Rosen w Brzegu Dolnym (niem. Dyhrenfurth), gdzie więźniowie wykonywali jakieś szczególnie zabójcze prace w fabryce chemicznej, wiele obozów przydzielonych do fabryk amunicji itd.

DRUGI rodzaj spraw, rozpatrywanych w Lipsku, reprezentuje proces Maxa Ramdohra, kierownika urzędu tajnej policji polowej w Termonde, a potem w Grammont, w Belgii. Ramdohr miał za najważniejsze zadanie zwalczać sabotaże kolejowe; ponieważ zaś brali w nich udział młodociani patrioci belgijscy, więził ich, bił, kopał, wykręcał ręce, szczuł psem, wsadzał im głowy do wiadra z wodą, wlókł po szosie za rowerem itp.

W przypadku Ramdohra złowieszcza, prorocza analogia osiągnęła przy tym szczególną wymowę dzięki przypadkowi — który zresztą może nie był całkowicie przypadkiem. Niejaki Max Ramdohr skazany został i powieszony przed paru laty za zbrodnie popełnione w charakterze członka „wydziału politycznego" obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Jeżeli ten „postrach Ravensbrück" był krewnym — może synem? — człowieka, który swego czasu zasłużył sobie na przydomek „postrachu Termonde", byłoby to świadectwem wytwarzania się pewnych „tradycji rodzinnych" wśród oprawców zbrodniczego imperializmu prusko-niemieckiego.

Wreszcie na wniosek angielski rozpatrywano dwie sprawy o zatopienie statków szpitalnych przez niemieckie łodzie podwodne. Jeden z tych wypadków miał miejsce na Morzu Śródziemnym; statek szpitalny płynął w asyście dwóch okrętów wojennych, które uratowały całą załogę, prócz sześciu ludzi zabitych samym wybuchem torpedy. Natomiast w drugim wypadku, który zaszedł na północnym Atlantyku, komendant łodzi podwodnej kazał zatopić ogniem działowym wszystkie łodzie ratunkowe; pod osłoną nocy uratowała się tylko jedna. Na tym tle może mieć już tylko uboczne znaczenie fakt, że wciągając na pokład łodzi podwodnej — celem przesłuchania — jednego z rozbitków, oficer niemiecki cisnął nim tak o pokład, że złamał mu nogę...

Czasopismo wychodzące **w Warszawie** nie ma potrzeby przypominać swoim czytelnikom, że już w 1939 roku warszawskie szpitale i warszawski personel sanitarny nie tylko nie korzystał z ochrony znaku Czerwonego Krzyża — lecz przeciwnie, znak ten trzeba było ukrywać, by uniknąć szczególnie usilnego ostrzeliwania i bombardowania. W czasie powstania warszawskiego hitlerowcy wymordowali cały personel sanitarny niektórych szpitali warszawskich; w jednym wypadku wpadający do szpitala siepacze wystrzelali wszystkich obecnych na sali operacyjnej, od operatora zaczynając, a na operowanym pacjencie kończąc. Wyczyny hitlerowskich łodzi podwodnych są również dostatecznie znane, a mordowanie rozbitków pokazywały nam nawet filmy wojenne.

×

OD DŁUŻSZEJ już chwili zapewne czytelnik kręci się niespokojnie i na ustach zawisło mu pytanie — czego właściwie chce autor od ludzi sprzed lat trzydziestu? Analogie są niezaprzeczalne, ba, biją w oczu. Od zbrodni, rozpatrywanych w Lipsku wiosną i latem 1921 roku, krwawa nić biegnie bezpośrednio do tego, co zaczęło się w kilkanaście lat później. Ale „vaticinatio ex eventu", prorokowanie o zdarzeniach już zaszłych, nie jest rzeczą trudną i było zawsze tanim chwytem kiepskich literatów i autorów scenicznych.

Nie wymagamy bynajmniej od tych, którzy przeżywali zakończenie pierwszej wojny światowej, aby odgadywali przyszłość; więcej, przynosi im tylko zaszczyt, że nie śniło się im nawet, jakie rozmiary przyjąć może zorganizowana masowa zbrodnia.

Znamy już „fakty stwierdzone" w Lipsku, czyli to, co nazwaliśmy zrazu „czynami". Do „faktów", czy też „faktów zaszłych w związku z procesami lipskimi" zaliczamy sam przebieg procesu, zachowanie sądu, oskarżyciela, obrońców i rzeczoznawców.

Przede wszystkim same wyroki. Heynen, Müller i Robert Neumann skazani zostali na dziesięć, sześć i sześć miesięcy więzienia. Generałowie von Schack i Kruska zostali uniewinnieni. Ramdohr — uniewinniony. Generał von Stenger i oficer jego brygady, porucznik Laule, zostali uniewinnieni. Oficer tejże brygady, major Crusius który wykonywał rozkazy Stengera w sprawie zabijania jeńców i dobijania rannych, skazany został na dwa lata więzienia. Kapitan marynarki Karl Neumann, winny zatopienia statku szpitalnego na Morzu Śródziemnym, został uwolniony od odpowiedzialności. Drugiego oskarżonego dowódcy łodzi podwodnej, Helmuta Patziga, który zatopił statek szpitalny na Atlantyku i wymordował jego załogę, „nie udało się odnaleźć"; jego dwaj podwładni, oficerowie, Dithmar i Boldt skazani zostali na cztery lata więzienia każdy.

Uniewinnienia, zwolnienia a tym bardziej wyroki skazujące nie mówią jednak jeszcze wszystkiego.

(*Dokończenie ze str. 1*)

W sprawie Heynena sąd nie stwierdził „stałej intencji złego traktowania jeńców". Rzeczoznawca wojskowy, gen. Fransecky, wychwalał go w sądzie, jako ucieleśnienie tradycji karności armii niemieckiej; wybitny niemiecki prawnik międzynarodowy, prof. Meurer, pisał, później w opinii dla komisji Reichstagu:

„Jego „okrucieństwa" (cudzysłów oryginału!) nie były niczym innym, jak zrozumiałym błędem (ein erklärliches Fehlgreifen) w wyborze środków do wypełnienia zadania, które trudno było rozwiązać..."

Z pewnego punktu widzenia interesujące jest tu stanowisko oskarżyciela niemieckiego. Postępowanie Heynena uznał on za „niesłychane" i „brutalne"; Neumannowi zarzucał, że był „systematycznie okrutny, często bez najmniejszego usprawiedliwienia" — i stwierdził, że nie ma usprawiedliwienia dla brutalności, choć w obu wypadkach oskarżonych tłumaczy w pewnej mierze ich gorliwość w pełnieniu obowiązków. Sąd, jak wiemy, nie uznał zresztą tych zarzutów. W przypadku kapitana Müllera większość zarzutów natomiast ulotniła się w toku przewodu i sprawa przedstawiała się o wiele lepiej, niż u Heynena...

Nie trudno dopatrzyć się w tym intencji ratowania stojącego wyżej społecznie oficera... Znalazło to odbicie i w wyroku, łagodniejszym niż dla Heynena i równie łagodnym, jak dla Neumanna, jakkolwiek właśnie wyższe wykształcenie Müllera, a w szczególności jego zawód — komendant Flavy-le-Martel był adwokatem! — powinny były w tym wypadku stanowić okoliczność obciążającą.

Obok tej socjalnej tendencji dostrzec można tutaj także chęć obciążenia zarzutami stojących niżej w hierarchii służbowej; im niżej bowiem, tym łatwiej zwalić odpowiedzialność na **jednostkę** i uwolnić od odpowiedzialności **system.**

ANGIELSCY obserwatorzy procesów wystawiają sądowi lipskiemu świadectwo całkowitej bezstronności i rzetelności — co strona niemiecka oczywiście skwapliwie podchwyciła. Tymczasem właśnie dowody, jakie owi Anglicy na to przytaczają, powinny by raczej wskazać im na prawdziwe oblicze tego politycznego sądu, który nie miał nic wspólnego z bezstronnością, czy też sprawiedliwością.

Wspomniany profesor Meurer oburza się, że w wypadku wydania oskarżonych oskarżyciele staliby się zarazem sędziami. Pomija przy tym oczywiście fakt, że z tego punktu widzenia sędziami w Lipsku byli oskarżeni; a okazało się, że tak było rzeczywiście... Był to porządek rzeczy o wiele bardziej nienaturalny, niż w normalnych warunkach, gdzie sądzą zawsze nie tyle oskarżyciele, co pokrzywdzeni: przedstawiciele porządku prawnego i socjalnego, na który dokonano zamachu.

Sąd lipski wytknął sobie zupełnie wyraźną i zdumiewającą, niedostrzegalną tylko dla samych Anglików, **polityczną** linię postępowania: postanowił udzielić możliwie jak najdalej idącego zadośćuczynienia Anglikom, natomiast możliwie zlekceważyć oskarżenia francuskie i belgijskie.

Już same cyfry mówią dosyć: na sześciu sądzonych z oskarżenia brytyjskiego skazano pięciu, z oskarżenia francuskiego na pięciu — jednego, w jednej sprawie rozpatrywanej z oskarżenia belgijskiego nastąpiło uniewinnienie.

Sąd odrzucił także wniosek obrony o rozpatrzenie brytyjskich zbrodni na morzu — istotnych, czy rzekomych — jako przeciw-oskarżenia w odpowiednich procesach.

Angielska relacja o tym wszystkim roi się od wyrazów zadowolenia, że brytyjscy żołnierze i marynarze, występujący w charakterze świadków, a także członkowie brytyjskiej misji specjalnej, wywarli wspaniałe i głębokie wrażenie na Niemcach. Autor sili się znaleźć w różnicach „charakterów narodowych" przyczynę, dla której takiego wrażenia nie wywarli Francuzi i Belgowie... Tymczasem zaś, wspominając o „energicznej" mowie Lloyd Georg'a w sprawie Górnego Śląska ukazuje nam mimo woli zza swoich niebywale naiwnych wywodów jedną z prawdziwych przyczyn, dla których Niemcy tak bardzo starali się pozyskać sobie Brytyjczyków. Jak widzimy, nas Polaków procesy lipskie interesują też bezpośrednio, mimo że ani jeden z 51 zbrodniarzy polskiej listy nie był tam osądzony...

W „belgijskim" procesie Ramdohra **wszelkie** zeznania świadków oskarżenia uznane zostały za niewiarogodne. Sam oskarżony pisał swego czasu w oficjalnym raporcie, że chłopcy belgijscy przyznawali się do winy tylko po „surowym przesłuchaniu" — ale sąd nie przyjął żadnych świadectw o metodach takich przesłuchań, jak omówiliśmy je wyżej. Chłopcy, którzy cztery lata wcześniej byli dla prusko-niemieckiej tajnej policji dostatecznie dorośli aby ich więzić i karać sądownie, nie mówiąc już o znęcaniu się — byli teraz bez wyjątku zbyt dziecinni i za mało rozwinięci, aby zdać sprawę ze swych przeżyć i złożyć wiarogodne zeznania. Zeznania te były mniej godne wiary, niż wypowiedzi byłych przełożonych Ramdohra, którzy zależnie od tezy jakiej trzeba było dowieść, podawali, że prowadzenie Ramdohra było doskonałe — i że miał być przeniesiony jako zbyt mało energiczny.

Jeden z omawiających procesy autorów stwierdza słusznie, że przy ocenie świadectw w sprawie Ramdohra sąd lipski osiągnął „szczyt nikczemnej stronniczości".

W procesie v. Schacka i Kruski brakowało głównych świadków oskarżenia, ponieważ misja francuska była już w tym czasie wycofana z Lipska na znak protestu przeciw sposobom prowadzenia procesów. Mimo to pozostało jeszcze dość materiału obciążającego.

Sąd nie miał przeto znowu innego wyjścia, jak odmówić wiary zeznaniom świadków oskarżenia. Jak się zdaje, redagujący wyrok miał na myśli potworność oskarżenia — przeciw pruskiemu generałowi! — a nie potworność zarzucanych mu czynów...

W prasie głoszono, że procesy — nie popełnione zbrodnie! — są hańbą dla Niemiec. Produkowano też bieżąco oskarżenia przeciw aliantom.

DALSZE losy skazanych są także znamienne. Dithmar i Boldt, uczestnicy rzezi sanitariuszy, kanadyjskich na Atlantyku, nie przekroczyli w ogóle bramy więzienia, ukryci zaraz po procesie przez wysokich niemieckich dostojników państwowych. Sądząc z nastawienia w czasie procesu, także i Müller i Crusius nie siedzieli zapewne w więzieniu; może tylko Heynen i Robert Neumann, uznani zostali za dostatecznie mało ważnych, by posiedzieć owe parę miesięcy.

Myślę, że ta **postawa wobec zbrodni** o wiele bardziej niż same zbrodnie stanowi dowód, iż procesy lipskie były wielkim, strasznym ostrzeżeniem przed tym, co przyjść musiało — i przyszło. Ale dla tych, którzy odbudowują dziś na nowo niemiecką siłę zbrojną, wszelkie ostrzeżenia są niedostateczne.

Nasz angielski adwokat pełen jest zachwytów nad rezultatami Lipska. Nie widząc czy nie chcąc widzieć, że wszelkie zbrodnie wojenne zostały tam usprawiedliwione i pochwalone, a tylko ze względów politycznych wydano kilka nic nie znaczących wyroków, wypowiada on pogląd następujący:

„... Fakt, że niemiecki sąd potępił surowo brutalne zasady pochwalane przez gen. v. Fransecky i admirała v. Trotha, stanowi poważny rezultat, który będzie żył w historii jeszcze długo, kiedy już nędzni winowajcy będą dawno zapomniani... Każda taka lekcja zmniejsza możliwości, iż historia się powtórzy". Nie można nie uśmiechnąć się smutno na te słowa.

Na procesach lipskich sprawa skończyła się. Po opisanych przez nas wyrokach misje cudzoziemskie zostały z Lipska wycofane i procesy przed sądem niemieckim jednogłośnie uznane za wręcz niepoważne. Ale do dalszych kroków w całej sprawie już nie doszło. Francja i Anglia miały wtedy dwa inne kłopoty: odszkodowania i interwencję w Rosji. Także i tu nie trudno o analogię. Trybunał lipski sam rozpatrzył wszystkie pozostałe sprawy i oskarżonych bez wyjątku uniewinnił. „Rezultaty" zostały gruntownie zapomniane przez wszystkich.

Z przedstawionych przez nas faktów wynika raz jeszcze poważny wniosek: hitleryzm nie zaczął się od Hitlera. Rodowód zbrodni prusko-niemieckiego imperializmu sięga co najmniej cesarstwa wilhelmińskiego; dobrze poszukawszy, przeciągnie się go jeszcze do czasów Bismarcka, przy czym oczywiście nie należy lekceważyć tradycji krzyżackiej...

A zatem — czysto formalna „denazyfikacja", usunięcie tylko formalnego hitleryzmu i członków NSDAP, to obcinanie gałęzi. Należało i należy wykarczować korzenie staroprusko-junkierskie, i nowoprusko-wielkoprzemysłowe. Tylko wtedy można być pewnym, że straszliwe drzewo zbrodni nie odrośnie.

Uczyniono to w strefie radzieckiej Niemiec — i na wykarczowanej glebie wyrosła Niemiecka Republika Demokratyczna. Natomiast na zachodzie bawiono się obcinaniem małych gałązek, zanim zaczęto — podlewać.

Michał Jawor

Por. w szczególności:

1. CREEL George, „War criminals and punishment". Hutchinson et Co. London, New York, Melbourne Sydney, (1944 45).

2. Dr. CYPRIAN Tadeusz i Dr. SAWICKI Jerzy, „Prawo Norymberskie — Bilans i perspektywy." Przedmową poprzedził minister Wiktor GROSZ. Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana, Warszawa-Kraków 1948.

3. MULLINS Claud, „The Leipzig Trials". An account of the War criminals trials and a study of German mentality. With an introduction by Sir Ernest POLLOCK H. F. et G. Witherby, London 1921.

4. ROLIN Albéric, „Le droit moderne de Guerre — les principes, les conventions, les usages et les abus". T. I—III. Albert Dewit, Bruxelles 1921—21.

5. „DAS WERK DES UNTERSUCHUNGSAUSSCHUSSES DER VERFASSUNGGEBENDEN DEUTSCHEN NATIONALVERSAMMLUNG UND DES DEUTSCHEN REICHSTAGES: 1919—1928". Verhandlungen — Gutachten — Urkunden. 3 Reihe: VOELKERRECHT IM WELTKRIEG. Deutsche Verlagsgesellschaft für Politik und Geschichte, Berlin, 1927.

Do P. T. Odbiorców

Instytut Wydawniczy PAX, Biuro Sprzedaży uprzejmie prosi P. T. Odbiorców o podawanie przy uiszczaniu na P.K.O. dokładnego tytułu, gdyż nie podanie celu przekazu opóźnia załatwienie zamówienia i stwarza zbędną korespondencję.

Marek KONONOWICZ

M A M Z A Z Ł E

Spostrzeżenia do dyskusji

KSIĄDZ dr. prof. Kozubski w swym treściwym artykule „Katolicyzm a duch czasu"[1]) pisze że „w konkretnym ukształtowaniu katolicyzmu, w poszczególnych jednostkach katolickich ukazują się pewne braki, które hamują rozwój i wpływ katolicyzmu na życie i społeczeństwo". Można by dodać, że rozwój i wpływ katolicyzmu hamują nie tylko braki jednostek, ale i braki w stylu życia zbiorowego katolików i to na ich własnym terenie. Ten skażony styl życia katolików zraża nie rzadko niestety do samego katolicyzmu tych, którzy nie zadali sobie trudu zgłębienia jego założeń.

SPOJRZENIE Z BOKU

NIE wszystko, co się innym u nas nie podoba, jest złe. Jednakże cudza krytyka jest dobrym niekiedy narzędziem pomocniczym do sprawdzenia słuszności swego postępowania, do spojrzenia na siebie „z boku".

Obawiam się, że takie spojrzenie z boku ujawni nam dużo nieprzyjemnych rysów. Poczujemy sami, że styl życia społeczności katolickiej w Polsce ma często posmak tego, co nazywamy (w ujemnym znaczeniu tych słów) parafiańszczyzną i kruchciarstwem, trąci ową, tak świetnie przez Lichańskiego opisaną, „kulturą przystosowaną" do mentalności, która „zapóźniona zwykle w stosunku do bieżącego życia umysłowego i artystycznego, co najmniej o jedno pokolenie, pozostaje w stosunku, jeżeli nie zdecydowanej niechęci, to w każdym razie nieufności wobec wszelkich nowinek".[2])

POKARM INTELEKTUALNY

JEŚLI zacznę od kaznodziei — to w poczuciu ogromnego wpływu, dodatniego czy ujemnego, jaki może on wywrzeć na społeczeństwo. Złe kazanie to jedno z ogniw łańcucha płyciny, krępującego ducha naszej religii. Nie chodzi o takie (autentyczne zresztą) potknięcia, jak nazwanie manicheistów „ateuszami, których poglądów, niestety, nie podzielamy". Gorzej jest, gdy kazanie jest zbiorem narzekań na „nowoczesną" naukę (która to?), „nowoczesną" filozofią (którą?) i „nowoczesną" modę. Albo gdy spłyca i banalizuje przeżycia religijne tradycyjnym opowiadaniem o świątobliwym młodzińcu lub zagranicznym podróżnym. Jeśli to ma by sposób głoszenia prawdy przez zniżanie się w przykładach do poziomu umysłowego prostaczków, to jednak większość „prostaczków" jest raczej zażenowana naiwnościami głoszonymi z powagą i godzi się na nie, bo trwa w wierności Bogu, mimo takich kazań. Ludzie od dawna czują potrzebę przemawiania do ich rozumu, który w miarę rozpowszechnienia oświaty wymaga coraz trafniejszych argumentów. Czynniki emocjonalne odgrywają w dalszym ciągu niewątpliwą rolę potężnego motoru w skłanianiu woli ku Bogu, ale należą one do dziedziny sztuki i tam ich należy celowo używać: w pieśni, we wnętrzu kościelnym, poezji religijnej, liturgii i t.p. Ale o tym powiem nieco dalej. Tu wspomnieć muszę jeszcze o brakach w pokarmie intelektualnym, którego wierni szukają w kościele a nie zawsze znajdują.

W związku z niskim poziomem wiedzy religijnej — wiara nasza jest powierzchowna, najczęściej zwyczajowo-niedzielna. W ten sposób niezgodność życia z wyznawanymi na kredyt zasadami jest niezwykle pożywką dla pozornej pobożności czyli t.zw. popularnie dewocji.

Dewotka — to ropiejący od dawna wrzód na ciele naszej katolickiej społeczności. Jej „pobożność" płynie przede wszystkim z pychy i z wszystkich pochodnych od niej przywar: zawiści o cudzą pobożność, zazdrości o rzekomo większe względy innej dewotki u księdza, nienawistnego wyszukiwania cudzych słabostek i t.p.

Owa rzekoma pobożność jest nacechowana dlatego głupotą, że jest obłudna, polega na zewnętrznych oznakach i zawsze idzie w parze z mniej lub więcej ukrytą nienawiścią do bliźniego.

SPLENDID ISOLATION

DUCHOWIEŃSTWO — z powodu swej szczupłej liczby — jest przeciążone pracą terenową i kontakty jego z poszczególnymi grupami wiernych są skąpe. Jednakże tego fizycznego braku styczności nie należy powiększać jeszcze dystansem w zainteresowaniach.

Zdarzają się, skądinąd zacni duszpasterze, którzy pochłonięci niesieniem Nowiny Chrystusowej w zbyt oderwanej od życia formie, żyją jakby w izolacji od najbardziej palących problemów życia narodowego. Stąd w ich pociesze religijnej tak mało aspektu społecznego, że często nie potrafią dać wskazówek opartych o najlepiej rozumiany interes Kościoła, narodu i ludzkości.

Ta izolacja jest dość częstym grzechem pobożnych katolików, a wynikiem jej jest skłonność do krytykowania, bez brania na siebie odpowiedzialności za dziejącą się rzeczywistość.

STADO CZY SPOŁECZNOŚĆ

WIERNI w Kościele, to nie przypadkowe zbiorowisko jednostek, przeżywających każda na swój sposób kontakt z Bogiem. Jesteśmy, szczególnie w czasie Mszy św., najbardziej predystynowani do stania się jednym organizmem, o jednej sprzężonej woli ku Bogu; do tego, abyśmy się społecznie miłowali. W tym pomocna jest organizacja kultu zewnętrznego, jej unowocześnienie, zgodność z duchem epoki. Na pierwszy plan wysuwa się sprawa powszechnej znajomości liturgii i zbiorowego, zorganizowanego udziału we Mszy św. Dlaczego u nas tak rzadko stosuje się wspólne, chóralne recytowanie porządku mszalnego? To nie tylko nas łączy w społeczność, ale i skupia uwagę na tym, co dzieje się u ołtarza.

Przy zbytnim poleganiu na ustalonych formach kultu, na określonych modlitwach istnieje niebezpieczeństwo schematyzacji myślowej. Myśli się wtedy jakoś teatralnie, jakby na wewnętrzny popis. Cudowne w formie zwroty liturgiczne przez swą „okrągłość", a często i niedzisiejsze zdobnictwo, odbierają świeżość myśli i bezpośredniość modlitwie. Czyż zwot: „przez łaskawe Twe zmiłowanie racz, Panie, pobłogosławić" — nie czyni dziś stosunku do Boga oficjalnym? Na pewno, toteż nadaje się do kultu zbiorowego, do wspólnej modlitwy. Tak jak pieśń.

Ale też i na tę intymną, osobistą rozmowę z Ojcem powinno być przewidziane miejsce w mszale i wskazówka ogólna np. „Pomódlmy się o zrozumienie Ewangelii", „Poprośmy o przebaczenie grzechów".

Ale tu już coraz bardziej bliżamy się do formy kultu.

Wspomniałem o pieśni. Są pieśni kościelne, które napełniają człowieka uniesieniem, przez swą dostojność artystyczną pomagają łączyć się z Bogiem. Te są dobre. Ale są, niestety, i te o katarynkowej melodii, przesłodzonym tekście. Te spłycają naszą łączną modlitwę.

SZTUKA JEST WYRAZEM

DLACZEGO jedne pieśni są dobre a inne złe? Dlaczego niektóre tylko obrazy są naprawdę piękne? Dlaczego wiejski „Chrystus frasobliwy" robi wstrząsające wrażenie, a wygładzona figura gipsowa odpycha swoją niestowością w kościele?

Trudne pytania i jeśli je stawiam, to nie po to, żeby na nie odpowiedzieć, lecz aby zwrócić uwagę na odpowiedzialność przy budowaniu kościoła i urządzaniu jego wnętrza.

Minęła już zeszłowieczna mania budowania kościołów „stylowych": gotyckich, renesansowych, romańskich. Zrozumiano, że prawdziwe dzieło sztuki musi być tworem samodzielnym, więc nie naśladowanym, i szczerym, a więc zgodnym z duchem epoki twórcy.

Dzieło sztuki jest wyrazem najwyższych przeżyć emocjonalnych twórcy. Zapomina się jednak często, że takie dzieło może stworzyć tylko człowiek z odpowiednim talentem. Żeby nie wiem jak wytłomaczyć budowniczemu — nieartyście, że kościół ma być nowoczesny — to z budowli wyjdzie raczej duże stoisko na lody, niż monumentalny dom Boży.

To samo dotyczy wnętrza kościoła.

Wyobraźmy sobie przeciętnego śmiertelnika w przeciętnym prowincjonalnym kościele na nabożeństwie. Cóż on widzi?

Jakieś wnętrze pseudo-gotyckie, a więc tchnące płyciną, bo nieszczere; w witrażach Chrystusy o rumianych obliczach i ślicznych lokach oraz pięknie trefione brody Apostołów; na ścianach istną wystawę tandentnego kramarza: bez ładu i składu powywieszane ckliwe obrazki, znoszone przez pobożne osoby; chorągwie — afisze złego smaku pielęgnowanego w tradycji sklepów hafciarsko-dewocyjnych; a na ołtarzu — żałosną mieszankę cech renesansu z karawaniarskim rokokiem, martwą rupieciarnię banału i słodkich hiacyntów; i szaty liturgiczne, które przez złe użycie atłasu i złota — tchną staropanieńską nudą.

Gdy swego czasu wobec dostojnego grona działaczy katolickich propagowałem samodziałowe wykonanie szat liturgicznych przez artystów ludowych, ktoś zwrócił mi uwagę, że jest to niemożliwe ze względu na konieczność użycia szlachetnych materiałów. Ale przecie i atłas w ręku człowieka twórczego może się stać czymś więcej niż banałem.

O CO NIE CHODZI A O CO CHODZI

JAK w sztuce kościelnej nie chodzi o szlachetne wzruszenie estetyczne, ale też nie o „bylepobożną" pomoc dewocyjną; jak w piśmiennictwie religijnym, nie może chodzić o zabawę, ani o zdobywanie dewotek banałem, tak i w stylu każdego życia społecznego chodzi o poruszenie w ludziach ducha, o zbuntowanie przeciw ich własnej płyciźnie, o zmuszenie do zajęcia postawy.

Marek Kononowicz

Kościół a fizyka współczesna

WCZASIE papieskiego przemówienia w Papieskiej Akademii Nauk, Kościół po raz pierwszy w swych dziejach użył oficjalnie języka współczesnej nauki i wyrażeń takich jak „zmienność, układ periodyczny pierwiastków chemicznych, prawo entropii, przemienność izotopu uranu 238" itp. Postawienie tej problematyki ma dla świata katolickiego zasadnicze znaczenie.

Co zostało stwierdzone w tym przemówieniu? W istocie rzeczy, obraz kosmosu, który podaje nam wiedza współczesna, zdaniem katolików, nie tylko nie sprzeciwia się koncepcji genezy świata, którą głosi Kościół, ale przeciwnie, może postulować pojęcie Stwórcy. Filozofowie myśliciele, teologowie katoliccy, dalecy od odwracania się od zdobyczy wiedzy współczesnej będą więc mogli z korzyścią brać je za podstawę swych racjonalnych rozmyślań.

Na jakich odkryciach, na jakich teoriach opiera się to stwierdzenie?

1) Panująca jeszcze przed 50 laty teoria niezmienności materii jest dziś na ogół definitywnie porzucona przez większość uczonych. Ta zmienność wszechrzeczy, widoczna gołym okiem w otaczającej nas przyrodzie, została potwierdzona przez naukę, a między innymi przez współczesną fizykę w jej poszukiwaniach dotyczących mikrokosmosu. Atom jest sceną zmian ustawicznych, dotyczących nie tylko jego orbity, lecz również jadra: „Jadra atomowe, są wprawdzie w rzędach wielkości bardziej trwałymi od zwykłych związków chemicznych, podlegają niemniej, one także w zasadzie, podobnym prawom transformacji, są więc zmienne..."

Nauka współczesna przynosi zatem dziwne potwierdzenie starożytnej zasady Heraklita „wszystko płynie".

2) Wszystko się przemienia i podlega jednocześnie powolnej utracie energii. „Nawet ilości jąder atomowych tracą, w ciągu miliardów lat, część zdatnej do wykorzystania energii i materia, mówiąc obrazowo, zbliża się do stanu wygasłego żżużlonego wulkanu..."

3) Przez obliczenie oddalenia mgławic, badanie najdawniejszych minerałów powłoki ziemi, lub badanie meteorytów, można dojść do ustalenia wieku wszechświata, aproksymatywnie na 5 miliardów lat. Wskazuje to na to, że świat miał swój historyczny początek, choćby się on znajdował w bajecznym oddaleniu od naszych czasów.

4) Współczesna nauka stwierdza, że świat nasz stale się rozszerza; czy kolosalny system dróg mlecznych, z których się ten świat składa, był kiedykolwiek skupiony w całość jedyną? A, z drugiej strony, jaki był stan tej pierwotnej materii? Aby dać początek ciężkim jądrom atomowym musiała ona podlegać zupełnie niebywałym stanom masy, gęstości, ciśnienia i temperatury.

Czyż taki fenomen, do dziś naukowo nie zbadany, nie przywodzi nam na myśl owe „Fiat lux" o którym mówi Pismo św. „Od chwili gdy wyłonił się z nicości, wraz z materią, ocean światła i promieniowania, podczas gdy czasteczki elementów chemicznych oddzielały się i skupiały w miliony dróg mlecznych..."

Kościół Katolicki odrzuca więc tezę:

„Materia istnieje. Nic nie powstaje z niczego: zatem materia jest wieczna. Nie możemy uznać stworzenia materii".

Ze swej strony wysuwa następujące twierdzenie: „Stworzenie w czasie, a zatem Stwórca, w konsekwencji Póg".

Takim jest, w krótkim streszczeniu, owo przemówienie Papieża.

Przemówienie nie wyrażające nowych stanowisk doktrynalnych lub teologicznych. Te wszystkie, na które się ono powołuje z punktu widzenia katolickiego są wysoce klasyczne: jest Stwórca, widok przyrody świadczy o Jego istnieniu, rozum przyrodzony może to istnienie dowieść. Przemówienie zastrzega się jednak przed próbami wprzęgania nauki do użytku łatwej i triumfującej apologetyki. „Dotychczas stwierdzone fakty nie stanowią jeszcze elementu niewzruszonego dowodu na korzyść stworzenia w czasie... Fakty dotyczące nauk przyrodniczych, na które powołaliśmy się czekają jeszcze na dokładniejsze badania i potwierdzenia, a teorie na nich oparte, by dostarczyć do argumentacji postawy całkiem pewnej, wymagają dalszych rozwinięć i dalszych dowodów..."

Znaczenie tego wystąpienia polega na tym, że Kościół Katolicki wystąpił uzbrojony w argumentację współczesnej nauki.

Oznacza to, że Kościół zdaje sobie sprawę z tego, że obraz kosmosu, który nam przedstawia wiedza XX w. jest objawem ważnym i, że żaden umysł nie mógłby dziś wziąć na serio koncepcji świata, która by nie uwzględniała tego obrazu. Toteż zachęca on, dzięki własnej postawie, do każdej pracy dążącej do konfrontacji między doktryną katolicką a najnowszymi zdobyczami wiedzy. Uczeni katoliccy, których trudna praca jest nieraz niezrozumianą, a nawet źle sądzoną przez masy wiernych, znajdą źródło otuchy w tej postawie.

Również w dziedzinie filozofii i teologii mogłoby takie stanowsko wywołać, z czasem, głębsze reperkusje, gdyby się stało powszechnym dla większości myślicieli chrześcijańskich. Zasady nauki współczesnej nie pokrywają się dokładnie z zasadami Arystotelesa, na których opierają się jeszcze katolicka filozofia klasyczna i teologia klasyczna.

Podobne reperkusje byłyby, rzecz oczywista, do przewidzenia dopiero po bardzo długim czasie. Zadowolnijmy się na razie tym, aby uczcić radośnie nowe usiłowania dążące do tego, by Kościół przemawiał językiem swego czasu.

Na podstawie artykułu z Temoignage Chretien z dn. 14 XII.51.

opracował K. K.

Ks. Prof. EUGENIUSZ DABROWSKI
ŻYCIE JEZUSA CHRYSTUSA
w opisie Ewangelistów

„Poza próbami naukowych czy literackich opracowań można również (a historia egzegezy dostarcza pod tym względem wiele wymownych przykładów) z czterech Ewangelii utworzyć jedną tak, aby na chwilę nie wyjść poza słowa tekstu świętego. Jeżeli bowiem Ewangelie dotyczą jednej postaci — Jezusa Chrystusa, zdarzeń z jego życia nauk to skoro je związemy pragmatycznie w jeden opis na zasadzie przyjętej w pisaniu życiorysów w ogóle — powstaje jedyny w swoim rodzaju życiorys Chrystusa napisany zgodnym wysiłkiem czterech Ewangelistów. W tak pojętym życiorysie każdy Ewangelista odnajduje siebie: nie tylko bowiem w pisach identycznych nic, co ma istotnie znaczenie, nie zostaje zagubione, ale uszanowane są wszystkie fragmenty niezależne, stanowiące własność poszczególnych Ewangelistów".

(Z przedmowy)

PALLOTTINUM 1951

Cena 25 zł.

---

1) „Słowo Powszechne"
2) „Dziś i Jutro" Nr 309.

Jadwiga POLESZAK

rys Jerzy GORAZDOWSKI

BIAŁE RĘKAWICZKI

JOANNA nie mogła spać. Nie mogła także wyleżeć w zaduchu obcego mieszkania, zatłoczonego dodatkowo gratami przywleczonymi tu po ostatnim bombardowaniu. Dalekie pomruki artylerii oraz czujna i dławiąca obawa wywlokły ją z łóżka, pomimo że po wczorajszym dyżurze czuła się wyjątkowo zmęczona.

Wyszła na balkon. Było jeszcze bardzo wcześnie. Spojrzała na niebo.

— Znowu zapowiada się pogodnie i gorąco — rzuciła z rozdrażnieniem w głąb pokoju.

— Wyobraź sobie — kończyła opowiadać siostrze wrażenia ze swej pracy na Punkcie — dziewięcioro drobiazgu i matka. Co jedno to mniejsze; najstarszy mógł mieć ze czternaście, piętnaście lat. Prawdziwy ojciec dla tej gromadki. Gdy przyszli robiło się już ciemno. Jeden chłopaczek, może siedmioletni był na pewno chory. Biedactwo, nie mógł nawet jeść. Położył głowę na stole, wydawał się zupełnie bez życia. Nie skarżył się na nic, ale też i nie reagował na zachętę matki i tego starszego brata ani moją. Nie chciał w ogóle patrzeć na jedzenie. Tamta reszta rzuciła się na chleb i zupę jak wygłodniałe wilki. Matczysko wlokło te dzieciaki aż skądś ze Śląska... „przed Niemcami"... Boże, Boże.

— Wszystko oczywiście miało poodparzane nogi.. No, jakoś ich ulokowaliśmy. Śpią teraz biedaki.

— Dopiero siedemnasty a już nie można poznać dawnego życia, miasta, ludzi — podjęła swoje biadania Maria.

— Czekaj, przecież dziś niedziela — przypomniała sobie Joanna.

Ubrała się i nie zważając na sprzeciwy siostry wyszła. Mimo tak wczesnej godziny parter klatki schodowej był okupowany. Artyleria wypłoszyła z mieszkania Antoniową wraz z jej dwiema córkami. Dziewczyny siedziały na przyniesionych z domu krzesłach. Antoniowa przycupnęła na schodach, tuż przy drzwiach Wolmerów, na które patrzyła z żałością. Były zamknięte. Skwapliwie zagadnęła schodzącą z góry Joannę, rada z każdej okazji do rozmowy.

— Gdzie to panna Joasia?

— Do kościoła.

— Oj, a nie boi się panna Joasia? Lepi by nie iść — radziła.

Ulice były puste. Skręciła w Narutowicza. Miała nadzieję, że jeszcze zdąży być na mszy i wrócić zanim rozpocznie się jakaś grubsza awantura. Kanonada stawała się coraz bliższa. Od czasu do czasu pojedyncze, twarde wybuchy mówiły o rozrywających się gdzieś pociskach. Minęła aptekę nie spotkawszy nikogo. Zamyślona podniosła głowę i spojrzała w perspektywę pustej ulicy.

Ktoś szedł naprzeciw.

— Żołnierz? Włóczy się to po ulicy, zamiast... — pomyślała ze złością. W tych dniach widok każdego żołnierza poza frontem budził w niej odruchową niechęć. Do rozpaczy prawie doprowadzały ją s t a d a mężczyzn błąkających się bez celu i sensu, gdy front pękał pod naporem wroga. Napatrzyła się na nich dosyć na Punkcie. Litość brała na widok ich twarzy wymizerowanych i obrośniętych, otartych i odparzonych nóg, ale trudno było to zrozumieć a jeszcze trudniej z tym się pogodzić. Znowu spojrzała.

— Piotr? Boże, to Piotr! — Dopadła do niego. Przywarła do brudnej, przepoconej bluzy. Całowała zarośnięte, wychudłe policzki. Ledwo się trzymał na nogach. Zawróciła z nim do domu.

— Rozbili nas. Pod Wyszkowem... — usprawiedliwiał swoją obecność. — Tylko się umyję, prześpię i zaraz idę dalej.

— Pod Wyszkowem? Gdzież to jest? Ach, już wiem. Dopiero po po chwili pojęła cały sens tej wieści.

— J u ż pod Wyszkowem?

— ...cały nasz pułk. Przez parę godzin byłem w niewoli. Uciekłem...

— W niewoli? Nie rozumiała.

— Czy wiesz, że o n i s w o i c h ż o ł n i e r z y p o d w o ż ą p o d f r o n t a u t a m i?

Nie pojęła brata. Byli już, w domu. Maria ujrzawszy ich w drzwiach stanęła jak porażona.

— Jezus, Maria — spazmatycznie ściskała głowę Piotra.

— Rozbici pod Wyszkowem, idzie zaraz dalej, daj mu jeść — rozdzielała ją z bratem. Sama już nalewała wodę do miednicy, szukała w tłomokach świeżego ręcznika, kładła mydło. Zostawiły go samego.

— Wyszków. Wyszków. Wyszków. — Zasyczała gwałtownie maszynka podpompowana energicznie przez Joannę.

— Gdzieś go spotkała?

— Koło Teatru.

— Zaraz musi iść dalej?

— Musi.

Joanna wybuchła nagle prawie z rozpaczą — O n i są już pod Wyszkowem, a u nas będę...? Boże Boże!

Chodzi od okna do drzwi, od drzwi do okna. Nadsłuchuje szmerów z kuchni. To ją przybliża do brata i łagodzi nieco napięte nerwy. Nagle, wyostrzonym słuchem, złowiła owo tak charakterystyczne i złowróżbne granie dalekiego jeszcze samolotu.

— Och, jeszcze i to! Kiedyż ten Piotr wyjdzie?

Nie słyszała dalszych pytań siostry, ani szumu prymusa, cała zamieniona w słuch i wydana wbrew swej woli na łup drapieżnego lęku.

— Masz, jedz — Maria podsuwa chleb, pomidory, masło. Herbata zaraz będzie. Siostry patrzą na niego z zachłanną miłością.

— Zaraz muszę iść dalej — uprzedza je i broni się zarazem przed ich zbyt współczującymi oczyma.

— W „Angielskim" zostawiłem kolegę. Musimy przedrzeć się do Chełma Tam podobno koncentracja... wszystkich sił.

— Pij! Zaraz położysz się spać. Już przygotowałam ci łóżko.

— No, Piotr, powiedz nam — Maria waha się w wyborze słów — powiedz nam jak j e s t n a p r a w d ę, bo my tu... powiedz jak jest n a p r a w d ę?

Piotr w milczeniu połyka chleb. Wolno popija herbatę.

— No, mów — czemu patrzysz na nas? — niecierpliwi się Maria.

— To wiecie, że rząd przekroczył granicę jedenas... — W tej samej chwili, samolot, który od dłuższego czasu krążył nad miastem, wykonał nad kamienicą popisowy ześlizg i ze skowytem i rykiem wyrównał lot. Były to bezkarne igraszki niemieckich pilotów. Zwykłe codzienne nękanie, kończące się przeważnie bombardowaniem.

— Żeby ten łajdak nie zechciał teraz właśnie .. Joanna bała się dokończyć swej myśli.

— jedenastego przekroczył granicę i jest już w Rumunii.

— To wiemy. — Odpowiada twardo Maria. — Myślisz, że teraz rozpocznie się ofensywa? To jedno mogłoby nas jeszcze... — Swiszcząc przeraźliwie wpadł w jej słowa pierwszy pocisk artyleryjski. Za chwilę drugi. Zafalowało powietrze! Posypały się z brzękiem szyby. Zerwali się. Nie ulegało wątpliwości. Niemcy macali upatrzony odcinek. Na linii kamienicy znajdowały się koszary. Pociski przenosiło. Piotr dopił herbatę. Maria wypychała mu chlebem torbę. Zapinał pas. Rozglądał się za czapką.

— Trzeba iść. Robi się gorąco — powiedział.

— Boże, Boże — Kiedy cię zobaczymy — lamentowała Maria.

— Odprowadzę cie — wyrwało się Joannie. Maria plasnęła gwałtownie w dłonie. Byli już za drzwiami. Parter tym razem był zatłoczony. Przeciskali się między kolanami siedzących. Ulice były równie puste jak poprzednio. Szli tuż przy murze, zasłonięci kamienicami.

— Trzymajcież się jakoś — prosił Piotr.

— O nas się nie martw — zaczęła Joanna. Było im ciężko mówić.

Przez Okopową przelatywały pociski. Przystanęli. Tuż przed nimi jeden uderzył w budkę z transformatorem stojącą na rogu Dolnej i zniósł doszczętnie jej daszek. Joanna kurczowo przylgnęła do brata. Schwycił ją mocno za przeguby rąk.

— Żegnaj? Dowidzenia!

— Piotruś! Piotruś!...

— Uciekaj! — Szybko odsunął ją od siebie. Przemknął chyłkiem wylot ulicy i zasłonięty już murem dawał jej znaki, żeby wracała.

Była mokra gdy wreszcie skryła ją brama. Atak przybierał na sile. Kamienicą wstrząsał raz po raz paroksyzm febry. W sieni zastała chyba wszystkich lokatorów. Drzwi do mieszkania Wolmerów i Jońskich były otwarte. Oba przedpokoje pełne siedzących. Odnalazła siostrę u Wolmerów. Ich duży środkowy pokój zagęszczony był jakimiś krzesłami, obcymi ludźmi i dziećmi.

— Nie masz serca wychodzić w taki czas — usłyszała wymówkę. — Umierałam... — Ale Joanna nie słucha. Wita się z Wolmerową.

— Siadaj, Joasiu, siadaj — zachęca Wolmerowa. — Misiu — zwraca się do córki, ale Joanna zdążyła już zauważyć, że pod oknem na kanapie jest jeszcze dużo miejsca.

— Już mam, Misiu — Wcisnęła się za stół i dotarła do kąta, gdzie mogła być sama. Nie chciała widzieć pytających spojrzeń Marii. Nie chciała słyszeć jej pytań. W tej chwili nie potrafiłaby mówić. Była rada, że dzielił ją od wszystkich duży stół i ruchliwa tama z dzieci. Przymknęła oczy. Scena rozstania z bratem stanęła w całej wyrazistości. — Czego ja się tak przestraszyłam? Mogłam go odprowadzić dalej... Czuła się tak, jakby zdradziła Piotra, jakby go swoim lękiem skrzywdziła, uczyniła bardziej bezbronnym, bardziej narażonym na niebezpieczeństwo. Męczyła się wspomnieniem

— Gdzie on jest? Jak wymknie się z osaczonego miasta?...

Jeszcze ten upał i ta przeklęta pogoda... Deszczu, deszczu — błagała niebo. Zdawało się jej, że klęska nie byłaby tak ostateczna, gdyby... cóż za niedorzeczność — łapała się na swej głupocie...

A POGODA była naprawdę złowróżbna

Godziny wlokły się i utykały, jak uciekinierzy na zatłoczonej drodze. Wolmer wychodził kilka razy do miasta Raz doszedł tylko do Okopowej. Drugim razem poszło lepiej. Dotarł na Punkt, do Vetterów. Joanna odetchnęła dowiedziawszy się, że biedacy, którzy tam wczoraj przybyli, zostali nakarmieni. Z głębokim współczuciem wspominała tę Ślązaczkę z dziewięciorgiem dzieci. Nie uszła przed Niemcami...

Niekończące się rozmowy obecnych płynęły rozlewną, ale płytką strugą bliskich wrażeń i dalszych wspomnień. Do Joanny siedzącej na kanapie dopływał tylko drażniący szmer i gwar rozmów pozbawiony ich indywidualnego wyrazu. Bojąc się, że nie wytrzyma w obranej przez siebie pozycji świadomego osamotnienia zaczęła rozglądać się, szukając jakiegoś punku zaczepienia. Uwagę jej zajął stół zarzucony wełną, resztkami śliwek i innego jedzenia, z reguły zostawianego tam przez Tadzia „na potem". Spod roboty najeżonej drutami wyzierało jakieś czasopismo, przykryte zeszytem w pomarańczowych okładkach. Pociągnęła je za róg. Czasopismo tkwiło w zeszycie, który przy energicznym pociągnięciu omal nie upadł na podłogę. Joanna uchwyciła go w ostatnim momencie. Trzymała w ręku otwarty kajet Krystynki. Spojrzała mimowoli. Zainteresował ją data — „31 sierpnia 1939 r." — To należy zapisać przeczytała pierwsze zdanie. — „Dwa dokumenty, dwie kultury, dwie moralności" — pisała Krystynka swoim nieco patetycznym stylem. — „Modlitwa do niemieckiego Boga". Joanna przypomniaał sobie, że czytała coś takiego. Był to ohydny druk, który ukazał się w Rzeszy na parę miesięcy przed wojną. Krysia wzięła na serio „modlitwę' 'i odpisa'a całą tę makabryczną fantasmagorię, podkreślając ze zgrozą niektóre jej zwroty.

...„Poraż, o panie bezwładem ręce i nogi Polaków
Zrób z nich kaleki, poraź ich oczy ślepotą
Tak męża jak i niewiastę ukarz głuchotą, głupotą
Spraw, żeby polski lud gromadami całymi zamienił się w popiół..."

— No, pobożne życzenie — nie ma co — pomyślała Joanna.

Krysia pisała — „Oto dokument niemieckiej kultury. Dokument XX w. o zgrozo!" o jedną linijkę niżej słowa — „A oto dokument drugi" i tytuł jakiegoś nowego utworu—„Modlitwa za nieprzyjaciół". Dużo wolnego miejsca — chyba na tekst? Przy końcu następnej pustej strony słowa „O Polsko! Ty matko miłości! Bądź mistrzynią co krzywości świata prości".

— Romanowskiego pomieszała z Krasińskim — nawykiem belferskim skonstatowała Joanna. — No, no! Co za zestawienie? — stwierdziła nagle niezwykłą dojrzałość u młodziutkiej licealistki.

— Ale gdzież jest ta „Modlitwa za nieprzyjaciół"? Przypomniała sobie czasopismo. Sięgnęła po nie. Było złożone do środka i złamane akurat na tytule.

„Zmiłuj się Boże nad Niemcami... — czytała. Robiło się szaro. Dzieci zabawiane do tej pory bajkami, opychane jedzeniem z głowami często na kolanach starszych, zmęczone ciasnotą, upałem, podcinane ustawicznym strachem za każdym mocniejszym hukiem i wstrząsem, zarażały się jedne od drugich płaczem i nie można już było z nimi wytrzymać.

„...nad miotanymi szaleństwem i grozą
nad posłusznie idącymi ku przepaści
Zmiłuj się Boże i na zgon namaścij..."

Misia zamykała okiennice Wszyscy odczuli ogromną ulgę, gdy Wolmer zapalił światło. Dzień, jak ciężkie brzemie, zwalił się z ramion.

Dzieci umilkły i rozglądały się osowiałe.

„zdeptanym daj ucztę weselną..."

Wolmer podszedł do córki trzymającej na kolanach Basię. Coś jej mówił po cichu. Potakiwała mu głową uśmiechając się smutnie. Zsunęła Basię z kolan. Wstała. Wolmer podszedł do pianina. Rozmowy ustały.

Ciszę między jednym a drugim interwalem wypełniło zdziwione oczekiwanie. Muzyka zaskoczyła wielu, melodia zaniepokoiła wszystkich. W drzwiach przedpokoju ukazały się podniecone twarze z sieni. Maria westchnęła głośno i zasłoniła twarz rękami. Misia zgarniała osowiałą dzieciarnię i z niemrawych malców probowała utworzyć korowód.

„Jak to na wojence ładnie...

zawtórowała klawiszom i rozkręciła dretwego jeszcze węża. Zabłysły przygasłe oczka drobiazgu.

...na wojence...

podjęły piosenkę cieniutkie, rwące się głosiki. Joanna wtuliła twarz w kanapę. Piosenka zakłuła jak żądło prosto w serce. Rozbudziła się utajona trwoga. — Piotr! Gdzie Piotr teraz?... Zaczęła ścigać go modlitwą, odprowadzać od nowa sercem, pełna skruchy, że pozostawiła go tak długo samego. Kontrast pokoju z nocą za okiennicami wydał się jej koszmarem. Rozpalona wyobraźnia wypędziła ją z tego bezpiecznego azylu nazewnątrz, w noc rozrywaną pociskami, widną od pożarów, w grozę i zamieć śmierci... Tam gdzieś szedł Piotr...

„Idzie żołnierz borem lasem...

...może ranny? Jak mu pomóc, jak przeprowadzić?

„...to, bida, to bida...

Zmienił się takt. Złamał się wąż, pokruszył, pogmatwał...

...to bida...

Dzieci wpadały na siebie...

...oj, to, to, to!

Robił się rozgadiasz, harmider ..

...niedola...

Gra nabierała życia.

JOANNA w pewnej chwili uświadomiła sobie, że daremnie szuka myślą brata, daremnie wywołuje jego imię... Powracało do niej z dziwnym bólem... J u ż n i e c z u ł a, ż e j e s t, ż e i d z i e... Objęło ją głębokie drżenie. Fala lodowatego zimna rozpełzła się po całym ciele. W i e d z i a ł a z całą oczywistością, choć jej to w żaden sposób nie było danem widzieć, że n i g d y j u ż n i e z o b a c z y b r a t a.

...„cóżeś to za pani?

Na rozbawioną dzieciarnię spłynęła nowa melodia i powiodła ją ku jeszcze lepszej zabawie.

Joanna leżała z twarzą zakrytą łokciem, pozornie obojętna, jakby z niej samej uszło życie. Pewne odrętwienie ciała udzieliło się myślom. Odkąd zabrakło w nich Piotra nie było się o co zaczepić. Ból ukrył się jak pająk. Pamięć odpływała. Łzy obeschły. Pozostawał jakiś dobroczynny smutek, który spowijał ją niby kokon poczwarkę. Byłoby jej nawet dobrze, gdyby nie irytujący, ustawiczny stuk okiennic, który uporczywie budził myśli... Poczwarka buntowała się. Chciała wreszcie zaznać ciszy... c i s z y... Okiennice trzaskały i trzaskały jakby na złość. — raz — dwa, dwa, dwa... Coraz głośniej, głośniej... Czyżby w jej głowie? Nie słyszeć!... Już. Już dobrze.. Jest na ulicy, przed domem? Nie, to Alcje. Tak, Aleje... Ile ludzi? Zbierają się zewsząd. Nagle dogonił ją płacz Tadzia. Obejrzała się. Ktoś brutalnie wyrywał mu drewniany karabinek. W następnej chwili zabawka i wysoki krzyk dziecka opi-

sały łuk nad głowami zebranych ludzi i upadły gdzieś na jezdnię. Pobiegła, żeby podnieść fuzyjkę i zwrócić ją płaczącemu dziecku, ale nie mogła jej nigdzie dostrzec. Rozglądała się bezradnie. Zmartwiona chciała Tadzia uciszyć, ale jego także nie było.

Tłum rósł z każdą chwilą. Uczuła lekki dotyk. Ktoś położył jej na ramieniu rękę. Mignęła jej znajoma twarz, ale zgasła zaraz niby świętojański robaczek. Znowu uczuła dotyk. Obejrzała się. Zobaczyła gęste kłęby kurzu rosnące szosą. Wyłaniały się jakieś kolumny ludzi? Wojska?... Powietrze dziwnie zmierzchało, to znowu rozświetlało się widmowo białym blaskiem. Wahadło światłocienia wywoływało z nicości tłum ludzi, domy, dalekie drzewa lub ścierało z oczu widok, niby gąbka tablicę. To wisząca na niebie ruchoma gwiazda kołysała się i światłem zamiatała drogę po której maszerowały nieznane kolumny. Słychać już było wyraźny szum kroków. Nogi idących uderzały z rozmachem o bruk — raz — dwa, dwa, dwa...

Człowiek z olbrzymią psią bestią wyprzedzał je o kilka kroków. Żadne zewnętrzne znaki nie mówiły o jego wojskowej godności. Udekorowaną natomiast była bestia. U obroży dźwięczały liczne i świetne emblematy — gwiazdy na tęczowych wstęgach i krzyże różnej wielkości i klasy. Człowiek trzymał ją na smyczy obu rękami, pozornie niedbale, w nieskazitelnie białych rękawiczkach. Dwie pary oczu żarzyły się niby bezcenne karbunkuły. W pewnej chwili odpiął smycz. Ściągnął rękawice i cisnął je w przestrzeń. Płowe psisko pognało szosą z głuchym warczeniem. — Czy przyniesie? — pomyślała Joanna. Nadchodziły kolumny. Rozpoznać już można było pojedyncze sylwetki. Na długich szyjach lśniły stalowe hełmy, ale żadna z tych opancerzonych głów nie miała ludzkiej twarzy. Zamiast nich błyszczały zegarowe tarcze, białe, polerowane, podobne do siebie z czarnymi cyframi. Widok był tak monstrualny, że stała przykuta do miejsca, zmartwiała, zahipnotyzowana. Podobne przerażenie opętało również innych. W głębokim, głuchym milczeniu przyjmowali tę niesamowitą defiladę. Czuła, że dłużej nie zniesie tego upiornego widoku. Na szczęście mijali.

Zafalowała teraz rzeka kwiatów.— Jakiś popis gimnastyczny — pomyślała z ulgą. Nowe człony tego potwornego wojska sprawiały wrażenie ruchomych rabat. Każdy z maszerujących niósł w szlywno wyciągniętej ręce pęk róż... Białe, niebieskie, pasowe, żółte... To było oszalamiająco piękne. Niewiadomo dlaczego ogarnął ją lęk. Obejrzała się. Wokół niej stawało się pusto. Tłum topniał dziwnie jak śnieg w słońcu. Przez moment uchwyciła przerażające zjawisko. Stojący opodal człowiek zamienił się nagle w kopczyk popiołu. Po prostu rozsypał się w oczach. Takich kopczyków zobaczy mnóstwo, mnóstwo... Była sama jedna na tym pogorzelisku. Zaczęła uciekać... Zobaczyła wreszcie pustą szosę. Przy-

(Dokończenie na str. 9)

Zbyszko BEDNORZ

rys. Anna LUBRAŃSKA

KAZANIE ZWYCIĘSKIE*)

W MIĘDZYCZASIE wydarzyły się w Bezchlebiu ogromnie ważne rzeczy. W początkach listopada ukazała się na drzwiach szkoły kartka tej treści:

„Wszystkich rodziców, mających dzieci w wieku szkolnym zapraszam w najbliższą niedzielę, po sumie, na konferencję.

Maria Klimaszewska
nauczycielka

Bezchlebie, dnia 5 listopada 1945 roku".

Zeszła się hurma ludzi. Zwłaszcza, że i ksiądz, stary poczciwy ksiądz Słaby, mówił owej naznaczonej niedzieli na kazaniu o tym wielkim święcie, jakie przeżyje wieś: po długich latach niewoli, znowu na tej ziemi będzie otwarta polska szkoła.

I szkoła ruszyła. Jezus Maria, jakie to było urwanie głowy dla pani nauczycielki! 15 listopada, w dniu otwarcia, zeszło się 97-mioro dzieci, ale jakich dzieci! Najróżniejszego wieku i wzrostu, najbardziej nieśmiałe obok najbezczelniejszych, najrozmaiciej ubrane. U każdego dziecka wybijało się na plan pierwszy co innego. Ten miał na sobie krótkie spodenki, tamten jakąś kurtkę, ów długie buty, ów jaskrawy szalik okręcony wokół szyi, inny długie pantalony narciarskie...

Wiele z miejscowych dziewcząt ubranych było w brązowe kubraczki, tak bardzo wyglądające po niemiecku. Zaś miejscowi chłopcy przyszli przeważnie w granatowych ubrankach z wyłożonymi, białymi kołnierzykami, tak jak zwykło się chodzić tutaj do pierwszej Komunii św. Od odświętnego ubrania dzieci miejscowych, odbijał strój dzieci repatrianckich, charakterystyczny daleko idącą dowolnością i przypadkowością. Dzień był wyjątkowo ciepły, więc dziwiło, że wielu z tych chłopców miało na sobie grube wełniane swetry, domowej roboty.

Zachowanie się dzieci repatrianckich cechowała pewna władczość, jakby wyższość. Gdy miejscowe nawoływały się i rozmawiały raczej nieśmiało, czekając na to, co się miało dziać, tamte zachowywały się głośno i zwycięsko. Odnosiło się wrażenie, że posiadły całą szkołę, ba, całą wieś, a nawet cały świat, a w każdym razie zdobycie całego świata nie stanowiło by dla nich niczego niemożliwego.

Do tych zuchów, już w pierwszej chwili zjawienia się ich na placyku przedszkolnym należał stojący nie daleko, żałośnie postrzelony czołg. Wpadł chłopcom w ręce w pierwszym boju, bez strat własnych i stanowił wspaniałą zabawkę. Jego żelazne cielsko, zaryte w ziemię, było świadectwem wojny. Teraz obsiadło go polskie dziecko i czołg zadrżał, zapłakał i znieruchomiał na zawsze.

GDYBY nie inspektor i nauczycielka z sąsiedniego Kamienia, którzy przybyli na uroczystość, nie byłaby sobie pani Maria dała rady. Dzieci zamówiła na godzinę 8-mą przed szkołę, ponieważ o wpół do dziewiątej miała się odbyć specjalna Msza św. Cała wieś była poruszona. Mimo dnia roboczego — uroczystość wypadła we wtorek — zjawili się przecież gromadnie oprócz rodziców dzieci i inni, nie zainteresowani bezpośrednio, starzy bezchlebscy obywatele.

Dzieci miejscowe zdecydowanie przeważały. Nietutejszych naliczyła pani Maria 18 dziewczynek i 15 chłopców. Wrzawy było tyle, że gdyby nauczycielka miała określić gdzie jej się umiejscowiła historyczność tego dnia, napewno by powiedziała, że w uszach.

Na razie chodziło tylko o to, by dzieci podzielić na dwie grupy: na dzieci, które jeszcze w ogóle nie chodziły do szkoły i na dzieci znające już szkołę. Ustawiwszy nareszcie dwie gromady czwórek, wyruszyli do kościoła, gdzie już ksiądz Słaby wyczekiwał niecierpliwie w zakrystii z dwoma parami miejscowych ministrantów.

Nowoczesna świątynia, powiedzmy, świątyńka bezchlebska nie stanowiła żadnej rewelacji budownictwa kościelnego. Zbudowana na miejscu starego modrzewiowego kościółka, reprezentowała ta nowa budowla typowe niemieckie lekceważenie wszelkiego smaku estetycznego. Z jaskrawo czerwonej cegły ułożono coś ciężkiego, co okna miało w ostrołukach, wchód romański, prezbiterium z ołtarzem w surowym neoklasycyzmie. A stary drewniany kościółek uległ rozbiórce jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej na zarządzenie niemieckiego urzędu budowlanego, z powodu rzekomej groźby zawalenia się spróchniałych ścian.

Gdyby nie ciepło żywego oświetlenia, barwne chorągwie bractw, gdyby nie kwiaty pod figurami, licznie fundowanymi przez lud, gdyby nie śpiewy rzewne, panowałby nastrój pustki i przygnębienia w tej chłodnej ceglanej świątyni, nastrój tak charakterystyczny w kościołach protestanckich.

PIERWSZE szkolne nabożeństwo nie tyle wzruszyło chłopców i dziewczynki, ile rodziców, a zwłaszcza starego księdza Słabego. Jego głos od ołtarza na Ewangelię drżał wzruszeniem, a kiedy wreszcie wszedł na ambonę, długo klęczał zanim przemówił. Zauważywszy, że wiele dzieci i starszych stoi pod chórem, zaprosił ich bliżej:

— Pójdźcie sam na przodek, proszę was, kochani, w ławkach na przodku może się jeszcze dużo z was usiednąć, toż pójdźcie sam, kochani.

Ksiądz Słaby nie władał tak językiem polskim, jak by tego pragnął, jego język był daleki od współczesnej literackiej polszczyzny, ale, mój Boże, czyż to kogo mogło razić, że przeplatał swoją mowę gwarą śląską, z której zresztą usuwał pedantycznie wszelkie germanizmy.

Był to jeden z tych księży działaczy, jakich nie wielu utrzymywało się po śląskich parafiach, stanowiących tu i tam owe niezłomne, niepokonalne ośrodki polszczyzny. Ksiądz Słaby jeszcze w roku 1938 odważnie odprawiał polskie nabożeństwa wbrew zakazom władzy hitlerowskiej. To właśnie on i kilku innych kapłanów znalazło się na liście, opublikowanej tuż przed wybuchem wojny z Polską, w pismach niemieckich. W roku 1940 na zimę zabrali go grubi żandarmi i powieźli do Opola. Po paru tygodniach do kogoś ze wsi nadeszła wiadomość, że ksiądz Słaby siedzi we Wrocławiu, no a potem — potem trzeba było organizować paczki żywnościowe i wysyłać na ów tragiczny adres: „Konzentrazionslager Dachau Alois Slaby, Schutzhäftling Nr 39756 Block 7".

Teraz mówił sterany duszpasterz nie tylko do dzieci, nie tylko do starych bezchlebskich polonusów, jakich widział po ławach, nie tylko do tych matek, co to ojczyznę polską przechowywały w domowych tradycjach, ale mówił jakby do całego świata, w przestrzeń, naładowaną historią...

„... Ciemnościami my byli zasnuci, ale je zdjena Przenajświętsza Panienka. Na słoneczko czekał ten lud i ono przyszło z polską Rzeczpospolitą na tę ziemię, by sam tych, co leżą pod trawą cmentarną otulić, a nas żywych łozgrzać do nowej pracy...

„... My tu od pokoleń tkwimy na tej ziemi i kochamy ją. Toć wiemy,

że każdy człowiek w doczesnej wędrówce musi mieć swój dom najbliższy i swoją przystań. Tym domem i tą przystanią jest dla mnie z Bożego rozrządzenia ten to umiłowany kąt mojej Ojczyzny, gdzie się urodziłem, gdzie się wychowałem, gdzie jako kapłan pracuję i gdzie pragnąłbym złożyć swoje kości...

„... I oto, co dzisiaj chcę wam powiedzieć swoim prostym językiem polskim, językiem moich praojców: przeszła przez naszą ziemię wojna, paliły się nasze wsie i miasta, hitlerowcy zamienili połowę świata, i w tym też cały polski kraj, w kupę zgliszcz i popiołów. Ale oto przyszedł koniec wojny i połączyliśmy się z polską Macierzą, do której tak przynależymy jak przynależy żyła do krwie...

„... Zacznij terazki, spokojny, pracowity i bogobojny ludzie śląski, zacznij terazki odbudowywac ze skrzętnością pszczoły swoje domy i świątynie, swoje warsztaty pracy, fabryki i kopalnie.

Rozśpiewej się po kościołach i przywrzyj do tego codziennego dnia, bo już w nim nie ma obozów koncentracyjnych i krzyków zarozumialców partyjnych z NSDAP, którzy chcieli stworzyć ze świata jedno wielkie państwo szatana, państwo obozów śmierci dla wielu ludów i narodów, państwo połamanego krzyża t. j. swastyki. Wierzam dziś, że nie znajdom się już nikaj i nigdy ludzie, którzy by chcieli na nowo tych powalonych dzisiaj i pobitych szaleńców hitlerowskich podnieść i na nowo przeciwko światu rzucić."

Wyciągał szyję, a każde ważniejsze słowo podkreślał gwałtownym, nerwowym skłonem głowy. Kazał dobitnie, choć głos mu się szarpał w chrypce.

„... Dziś otwieramy tukej polską szkołę. Toż wiecie moi parafianie, że takiego zwycięstwa nie rozumie nikt, kto nie wie jako ta ojcowizna sam okrutnie była gwałcona. Toż bydymy się terozki uczyć w języku macierzyńskim we polskiej szkole, kierowanej sercem a umysłem naszych kochanych ojczystych nauczycielów na chwałę Pana Chrystusa...

„...Apostoł z nad Odry Karol Miarka prawił, że szkoła ma być przewodnikiem dla życia dalszego, że nauczyciel jest jako ten ogrodnik, co szczepi stromy[1]) owocowe; trzeba baczyć by każdy naukę biorący był doskonałym stromem owoc rodzącym".

PO OMÓWIENIU historyczności dzisiejszej chwili, cieszył się z nowych ludzi, co się do wsi „wkludzili[2]), a na koniec taką miał krótką przemowę do samej dziatwy szkolnej:

„— Synki i dziołszki moje umiłowane w Panu naszym, to wy właśnie dostępujecie tego dostojnego szczęścia, że możecie się uczyć swobodnie we szkole polskiej. Wiym, że te starsze z was i te młodsze pacierz porzykać umiecie, wasze czcigodne i bogobojne matki was tego nauczyły, ale co dali? Już tego zaiste nie wiym jak tam jest z historią i geografią, a z przyrodą, a z rachowaniem.. Widzi mi się, że miernie, mierne dziateczki. Ćwiczcie się w potrzebnych naukach, a bądźcie posłusznymi swoim wychowawcom. Dzieci umiłowane, widzę was tu z różnych części naszej przyrodzonej ojczyzny zgromadzone. Bądźcie sobie braćmi i siostrami. Nie przezywajcie się, nie bijcie się. Miejcie serdeczne ze sobą porozumienie, a pamiętajcie zawsze na ony cnoty, w których wzrastał nasz Zbawiciel, Jezus Najsłodszy, Bóg i Człowiek razem, amen. A teraz jeszcze małe ogłoszenie: toż w każdą niedzielę i święto łodprawiać bydymy szkolną mszę świętą, o godzinie ósmej rano. Nie łyńcie się a przybywejcie wszyjscy. Niech będze pochwalony Jezus Chrystus."

— Na wieki wieków amen.

Dobrze, że ksiądz skończył, bo dawno już Jorg pod ławką, niby to klęcząc, schylił się i wbił sąsiadowi szpilkę w udo. Zaś Staszek z Mirkiem, siedzący w wysokich ławkach bocznych oglądali właśnie kartkę z następującym napisem, który wspólnie ułożyli:

„Hyjdla myjdla wszawa hitlerka".

Zamierzali przyczepić Hyjdli tę kartkę w czasie wychodzenia z kościoła.

Tymczasem Hyjdla wyjęła stary, pożółkły obrazek z świętą Jadwigą i rozpoczęła sylabizować duże polskie litery modlitwy do swojej patronki.

Obrazek dostała od babci; przechowywała go pieczołowicie w małej niemieckiej książeczce do nabożeństwa.

„Pa- tron-ko mo-ja wie-le-bna Pani
Jadwigo z Trze-bni-cy módl się za na-mi".

Zbyszko Bednorz

*) Fragment większej całości.

1) Stromy — pędy, drzewa.
2) Wkludzili — wprowadzili.

SYLWETKI I ZDARZENIA

Mentor we fiolecie

...zetknąłem się z Jego Ekscelencją, kiedy liczyłem lat — lepiej się nie przyznawać; usłyszałem wtedy piosenkę Beranger'a o „edukacji panienek" i w początkowej odrazu zwrotce zadźwięczało mi imię Jego Ekscelencji.. Prawda, że w kontekście niezbyt pochlebnym:

Ach, Fenelon taki nudny
uczy, jak smaczny chleb upiec,
jak się pierze stanik brudny.
Ależ to kompletny głupiec!

Żadnej wątpliwości, byłbym dziś bardzo zgorszony, gdyby ktoś do tego stopnia ośmielił się lekceważyć personata we fioletach. Lecz w tamtych, żółtodziobych czasach!/Nie potrafiłem nawet zauważyć, że moja kuzyneczka wyśpiewuje szyderstwa Jean Paul'a z Jego Ekscelencji z dziwną satysfakcją. Schadenfreude, rzekłby Niemiec. Widocznie nie tylko stary Beranger — również i płeć piękna miała na pieńku z Jego Ekscelencją.

Zadrzeć ryczałtem z poetami i z kobietami, nie, na to trzeba pecha.

Pecha, Ekscelencjo.

Minęło później ładnych parę wiosen i zetknąłem się znowu z Jego Ekscelencją. Bynajmniej nie w słońcu dziewczej piosenki. Zetknąłem się z Jego Ekscelencją w aksamicie wiejskiego wieczoru, w zaciszu domowej bibliotcki. Rosochaty świecznik stał na złotawym „czypindelu", a popod świecznikiem, nawprost najwłaściwszego mego nosa, otwierał się maleńki tomik, wydany r. 1821 w Paryżu, u pana Saintin, księgarza JKM. Tytuł tomiku „w przekładzie z oryginału: „Żywoty starożytnych filozofów opowiedziane pokrótce".

„Przez Fenelona".

Przez Jego Ekscelencję.

Zamknąwszy przeczytany jednym tchem tomik wyszedłem do parku. Świtało. Niebo rozjaśniło się powoli i stoczkiem jaśni gasiło migające gwiazdy. W pobliskim parowie wśród ciemnej gęstwy leszczyn, odezwały się ptaki. Z łąk, których stopy zatuliły się wciąż jeszcze we mgłę, lekki powiew strząsał woń i rosę. I nie wiem ani czemu, ani drogą jakich nieznanych asocjacji, czar ów poranka powiązała mi nagła parabola z czarem całonocnej lektury.

Cóż za rozkoszny pisarz! Cóż za stylista!

Dzieło sztuki „Żywoty" bo Fenelona są dziełem sztuki, częstokroć upodabnia swoją urodę do urody dzieła Stworzenia. Byleśmy umieli to zobaczyć, byle nam była dana łaska to zobaczyć! Czyli uprzytomniłem sobie, że źródlanie chłodny połysk prozy Jego Ekscelencji, artystyczna jej ubogość pod względem barwy i melodii jakby przemienia się w chłodność pozorną brzasku i pozorną monotonię, w ukryte w nich wszystkie ponęty rychłego już południa, w koncert wszystkich głosów i kolorów życia.

Inaczej, burza w aureoli doskonałego spokoju.

Niby, paradoks, jakże trafnie jednak ujmuje ową słodko uśmiechniętą indywidualność we fioletach, o wcielenie czasem zbyt daleko posuniętego mentorskiego spokoju, przeciw któremu sprzymierzył się w pewnej chwili Ludwik XIV i pani de Maintenon z Bossuet'em, Sorboną i Innocentym XII.

Jego Ekscelencja, owo wcielenie spokoju, posiadał dar wyniesienia sprawiedliwości światu, dar niemniejszy niż pan de Saint-Simon, który w dworskich zwierciadłach Ludwika XIV widział li arystokratów i niż pan de Lafontaine, który w arystokracji (i nie w arystokracji) widział li zwierzęta.

„Przygody Telemaka," Fenelona to tyleż dzieło geniuszu, co dobrego smaku i dobrych manier.

Jego Ekscelencja poprzebierał zwierzęcych ludzi i ludzkie zwierzęta po grecku wiedząc, że instynkty obnażą się POMIMO stroju.

Kali

PIONIER REALIZMU

Caravaggio — „Zaśnięcie Madonny"

NIEBYWAŁY sukces, jakim cieszyła się zeszłoroczna wystawa mediolańska, poświęcona twórczości Caravaggio, zainteresowanie świata artystycznego i to zarówno włoskiego jak i francuskiego, jakie ona wzbudziła, nie są dowodem kaprysu czy szczęśliwego zbiegu okoliczności. Wydobycie z zapomnienia tego szesnastowiecznego malarza ma głębokie przyczyny w tendencjach i potrzebach, nurtujących dzisiejszy świat malarski tych krajów. Nie ulega wątpliwości, że i tam rozpoczęła się walka z przerostami jednostronnego poszukiwania rozwiązań formalnych w twórczości artystycznej i wynikającej stąd maniery w malarstwie. Jednym z przejawów buntu jest zwrot ku otaczającej naturze, praźródle sztuki, jest nawiązanie znowu kontaktu z rzeczywistością, jeśli nawet — czy się to podoba, czy nie — ma ona w sobie coś brutalnego czy pospolitego.

Ale dlaczego Caravaggio? Legenda otacza tę awanturniczą postać, człowieka popędliwego, chwytającego z pasją zarówno za szablę jak i za pędzel, przenoszącego się z miejsca na miejsce, często w ucieczce, ale nieustannie szukającego sposobu wyrażenia na płótnie noszonego w sobie ładunku artystycznego.

Caravaggio był synem swej epoki. Ale legenda nie może zakryć przed nami bolesnego, tragicznego, bardzo ludzkiego oblicza duchowego artysty.

Michał Anioł Merisi, urodzony około 1573 r. w miasteczku lombardzkim Caravaggio (z tą nazwą przeszedł do potomności), był synem budowniczego, któremu patronował markiz z Caravaggio. Jako 10-letni chłopiec jedzie z ojcem do Neapolu. Tam pomaga ojcu przy budowie i styka się z malarstwem freskowym. Zaczyna też pracować jako samouk — bez mistrza, bez szkoły. Maluje portrety, martwe natury, kwiaty owoce. Szkołą jest mu natura i jej natchnieniom dochowa wierności przez całe życie. Wkrótce jedzie do Mediolanu, potem do Rzymu: i tu dzieła jego stają się prawdziwą sensacją.

W okresie, w którym zjawił się Caravaggio, włoskie malarstwo porenesansowe przeżywało poważny kryzys. Naśladownictwo szkół Michała Anioła, wielkiego Leonardo i Rafaela doprowadza do maniery, a od tego zaś był tylko krok do dekadencji.

I oto w tym momencie rodzi się żywiołowa, przedwczesna twórczość Caravaggio (wielkie płótna z cyklu „św. Mateusz" tworzy on około 20 roku życia — przedwczesna dojrzałość talentu, na którą z trudem tylko godzą się historycy). Malarz ten przypomniał współczesnym, że idą zgubną drogą. Nieuchronne staczanie się po równi pochyłej zostało zahamowane.

CZASY Caravaggio to czasy burzliwe. Po okresie Reformacji najżyźniejsze części Włoch zajmuje Hiszpania. Niepokój, panoszenie się żołdactwa hiszpańskiego plądrującego kraj, głód, nędza stwarzały warunki, w których słaby żył bez nadziei sprawiedliwości, a rewolty, wywoływane głodem, nie należały do rzadkości. (Tłem słynnej powieści Manzoniego „I promessi sposi" jest właśnie nędza lombardzka w pocz. 17 wieku).

„Powołaniem św. Mateusza" (artysta tworzy to dzieło mając lat 17) Caravaggio porusza ówczesny świat malarski. Całkowicie nowa atmosfera obrazu sprawia, że naraz wszystkie pracownie włoskie zaczynają o nim mówić. „Powołanie św. Mateusza", to scena w oberży, albo w jakimś „corps de garde", to przerwana raptem partia kart, przy czym jedna z postaci, siedząca na oklep na krześle, bezpretensjonalnie pokazuje nam plecy.

Odtąd obrazy mnożą się. Przynoszą one nową wizję świata, wizję udzielającą realnym kształtom i wspaniałemu studium światła i cieni tak poczesne miejsce, że o pewnych obrazach wielkiego nowatora można mówić jako o fotografiach (w pojęciu fotografii dzisiejszych kinematografów). Dzieło Caravaggio wyraża widowiskowość rzeczywistości

Potężny realizm Caravaggio wstrząsa ówczesnym malarstwem. Maniera, szukanie tematów uświęconych tradycją, styl konwencjonalny ustępują głęboko ludzkiemu uczuciu, szczerej prawdzie o życiu ludu. Nic w tym dziwnego: przybywając ze wsi, Caravaggio wybiera modele z ludu, spośród wieśniaków. Toteż postaci, które maluje najczęściej, to bosi nędzarze, łachmaniarze. — „Natura dała dość modeli" — odpowiadał malarz, wskazując na tłum, gdy występując przeciw studiowaniu form Michała Anioła i Rafaela, był pytany o nowe wzory. Kontakt ze wsią daje mu umiejętność podpatrzenia niejednego szczegółu.

W „Ofierze Izaaka" ruch ręki Abrahama przygotowującego się do zadania śmierci synowi jest pełnym autentyczności wprawnym ruchem ręki, zabijającej w ofierze barana.

Caravaggio — „Nawrócenie św. Pawła"

W „Nawróceniu św. Pawła" dominuje studium konia wykazujące gruntowną znajomość tematu i trafność obserwacji.

Wobec nowatorstwa Caravaggio, trudno się dziwić, że współcześni gorszyli się nim, że „św. Mateusza i Anioła" wycofano z ołtarza, że nie przyjęto obrazu „Zaśnięcie Madonny" (znajdującego się obecnie w Luwrze). Uważano, iż przedstawienie postaci świętego ze skrzyżowanymi nogami i ze stopami wystawionymi do publiczności, nie da się pogodzić ani z godnością, ani z wyglądem świętego.

I nie tylko współcześni nie przyjmowali tego ładunku rewolucyjności Caravaggio: Poussin uważał „Zaśnięcie Madonny" za „scenę lokajską". Klasyk nie mógł dać innej oceny, nie mógł też uchwycić całego bogactwa ekspresji i wzruszającej wielkości obrazu.

„Ten człowiek zjawił się po to, by unicestwić malarstwo" — wykrzyknął Poussin. To samo powiedział później Delacroix, patrząc na obrazy Courbeta. Ten okrzyk stawia problem Caravaggio — co stałoby się z malarstwem europejskim, gdyby unieruchomiono je w koleinie akademickości i maniery? Nie poznalibyśmy ani Velasqueza, ani Rembrandta, ani Rubensa...

Caravaggio, jeden z pierwszych wielkich malarzy „martwej natury", obudził cały drzemiący świat, a brutalność pewnych kreacji była zbawienna: szkoła rzymska dostała zastrzyk świeżej krwi. Rewolucji dokonał człowiek, umierający w 37 roku życia, ale który przedtem wypowiedział wszystko, co nosił w sobie najistotniejszego. Zamknąwszy Renesans, otworzył szeroko drogę przyszłości.

Obrazy Caravaggio cechuje głębokie umiłowanie form, upodabniających obraz do rzeźby, afirmacja istot i przedmiotów przez grę światła i realistyczny clair-obscur. Do niego też mogą odnosić się słowa Michała Anioła: „Malarstwo jest tym doskonalsze, im bliższe jest rzeźbie".

Owa szczególna atmosfera, którą Caravaggio wstrząsnął swoją epoką i zrewolucjonizował podstawowe dane o sztuce, wypływała z głęboko ludzkiej uczuciowości, z żywiołowego poczucia wspólnoty ze światem, z umiłowania życia, ludzi, przedmiotów. Sztuka jego naturalna i zrozumiała, raczej „człowiecza" niż „humanistyczna", stała się dostępna dla wszystkich, jednym słowem — ludowa.

Malarze nowożytni zawdzięczają wiele temu, który był jednym z ojców realizmu, a doświadczenie jego nabrało na nowo wymownych cech aktualności.

Zrozumieli to głęboko ci, którzy walcząc o nowe oblicze sztuk plastycznych sięgali do źródeł realizmu.

Caravaggio — „Amor"

STANISŁAW CZCIBOR

Amor jako skrzypek

Wśród nut rozrzuconych w miłym nieporządku
lutni i klawikordów i cudownych skrzypiec
tańczy Amor — ma w ręce wyciągniętej smyczek
a ze skrzydeł złocisty pył się wokół sypie.

Uniósł nogę i rękę ukrył gdzieś na plecach
uśmiecha się figlarnie i radośnie zerka:
wkrótce na jego rozkaz z daleka przylecą
Puck — psotnik, Ariel i wesoły Skierka.

Józef SZCZAWIŃSKI

O twórczości Włodzimierza Słobodnika

POKUSZENIE się o syntezę dorobku pisarskiego poety, który za parę miesięcy obchodzić będzie 25-lecie swej twórczości, to sprawa dość trudna i niebezpieczna. Zarówno postawa twórcy jak i krytyka uwarunkowana jest m. in. kontekstem czasowym Okres ćwierćwiecza oddzielający pierwszy tomik poezji Włodzimierza Słobodnika od obecnego omówienia jego „Wierszy zebranych", sprawia, że postawa poety A. D. 1927 i postawa recenzenta w r. 1951 muszą się dość zdecydowanie różnić. Nie może to jednak stać na przeszkodzie omówieniu drogi poetyckiej autora „Świateł na trasie", winno tylko zasugerować szczególną ostrożność w wartościowaniu i ocenie przedmiotu

Cechą niezmiernie cenną, cechą, którą znaleźć można w każdym tomiku i w każdym nieomal wierszu Słobodnika, jest odbicie humanistycznej postawy twórcy

Zdaję sobie sprawę, jak często nadużywa się słowa „humanizm", we wszystkich możliwych przypadkach i we wszystkich możliwych jego wariantach. Dlatego określając postawę artystyczną Słobodnika jako humanistyczną, czynię to ze świadomością, że potwierdzenie znajdzie czytelnik na każdej prawie stronie omawianych tomików. Po zapoznaniu się z twórczością autora „Modlitwy o słowo", odnosimy wrażenie, że znamy go oddawna prywatnie. Przeżycia osobiste, pozaliterackie poety przybierają formę artystyczną i żyją w wierszu, stając się własnością odbiorcy, potęgując jego przeżycie estetyczne. Stąd lirvki Słobodnika, nawet te, w których człowiek nie jest bezpośrednio pokazany, noszą w sobie urzekające znamię humanizmu.

Pełność obrazu człowieka uderza już w pierwszych zbiorkach 27 letniego wówczas poety, który widzi i pokazuje bliźniego przedstawiając jego otoczenie, krajobraz, sprzęty Animizacja rzeczy martwych, zjawisk przyrody, sprzętów codziennego użytku o ile nie jest pozą i konwencją jeszcze wyraźniej mówi o humanizmie twórcy. Ani konwencji, ani pozy nie dostrzegamy w słowach poety:

— Jak narodziny dziecka, święcę
narodziny
Kredesu, szafy, krzesła, barczystego
stołu...

a dalej...

... Biurko, płucami wielu szuflad
swych dyszące,
Naucza mnie porządku, dając dobre
rady,
Jak kłaść związane słowa ważkie i
gorące
W szuflady rytmów, rymów, w
dźwięcznych brzmień szuflady.

Jeśli więc poeta pisze o stole, to („Rzeczy", „Modlitwa o słowo"—1927) wiemy, że człowiek przy tym stole zasiądzie, jeśli o lipowej łyżce, to wiemy, że: „stała się lipa ludziom łyżką żywicielką"...

HUMANISTYCZNE pierwiastki potęguje głębokie poczucie solidarności poety ze wszystkimi ludźmi:

— „Murarz i ja to jedno! Młot i ja
to jedno!
Śmierć starca to śmierć moja
Narodziny dziecka
To moje narodziny.....
Gdy kat skazańca chłoszcze
w Afryce dalekiej
Na ciele mym wykwita purpurowa
ustęga. —

(„O wielkiej jedności", tom „Cień skrzypka" 1929).

Artystyczny wyraz postawy humanistycznej nie ogranicza się do pokazania człowieka w kontekście otaczających go zjawisk materialnych. Plastyczne przedstawienie bliźniego w takich wierszach jak: „Ksiądz proboszcz", „Stara Marta", „Wizja kucharki", „Letnisko" i inne, uzupełnia np atmosfera utworu „Oddech umarłych", w którym poeta towarzyszy człowiekowi aż poza kres życia, wyczuwając subtelnym zmysłem artysty związek między tymi co odeszli a tymi co pozostali:

— Z dna płuc dobyty oddech — (może z duszy dna) —
Nie kończy się po zgonie naszym, ale trwa...
Bo chociaż już nie mąci lustra gładkiej toni,
W uszach najbliższych nocą jak muzyka dzwoni —
I będą się wsłuchani w szmery te najsłodsze,
I sadzą, że na smutnym, opuszczonym łożu,
Głęboko i szeroko, jako wiatr od morzu
Oddycha ten, co wczoraj w mrok wieczności odszedł. —

Najbardziej skrystalizowaną formę przybiera humanizm Słobodnika w utworze pt. „Już czas" ze zbiorku „Nowa muza" 1930:

— „Dzisiaj po wielkiej wojnie,
pierś moja oddycha piersiami
wszystkich żołnierzy, którzy przeszli
po niej, jak po moście z płomieni,
piersiami żołnierzy ubranych w różne
uniformy, pod którymi biją jednakowe ludzkie serca, jednakowa
ludzka radość, jednakowy ludzki
ból..

...Kiedyż nareszcie nie będzie różnych uniformów, kiedyż pokój i praca będą jedynym uniformem ludzkości! Śnią mi się tęcze dobroci, prawdziwe serce świata!" —

POSTĘPOWY i społeczny charakter twórczości Włodzimierza Słobodnika jest konsekwencją jego postawy humanistycznej. Poczucie solidarności i związku z bliźnim musi w konsekwencji prowadzić do walki o prawo do szczęścia bliźniego. Już we wczesnym wierszu „Ksiądz proboszcz" sielankowy i spokojny obraz zamyka pointą:

Archanioł trąbi: „Księże, nie czas spać gdy łuska
Nocy objęła ziemię gwiazdami i rosą
Bo czarna, rozczochrana, twarda krzywda ludzka
Wśród chłopskich rozszczekanych zagród idzie boso. —

by poprzez stwierdzenie:

Patrzymy na prawo — człowiek,
Patrzymy na lewo — człowiek,
Wszędzie, wszędzie ten sam!
(„Pochód", zb. „Cień skrzypka")

przez modlitwę:

Robotnikowi daj żar czysty
Do pracy wielkiej jak Twe „stań się"
Wybaw go od kapitalisty," —
(„Godzina modlitwy" w zbiorze „Cień skrzypka").

dojść do rewolucyjnych stwierdzeń w wierszu „Michał Anioł", („Cień skrzypka"):

On wie, on wie, że przemoc trzeba zgnieść przemocą,
Silnych skazać na słabość, słabych natchnąć mocą... —

do słowa rzuconego strajkującym górnikom Anglii:

Nie dzieli was od nas ocean.
Serca nasze złączone,
A bunt, nasz bunt wystrzela
Jednym sztandarem czerwonym!

W miarę rozwoju twórczości odszedł poeta od młodzieńczej deklaratywności ideowej nie zatracając bynajmniej akcentów postępowych, lecz wyrażając je środkami bardziej artystycznymi. Słobodnik inaczej służył swoją poezją sprawie rewolucji, niż np. Broniewski. Poezja Broniewskiego była poezją pierwszej linii frontu, dlatego jest bojową w formie, daleką jeśli chodzi o utwory o akcentach społecznych i politycznych od najlepiej nawet pojętego estetyzowania. Słobodnik oddziaływuje przede wszystkim za pośrednictwem wzruszenia estetycznego, dążąc do celu drogą dalszą, ale kto wie czy nie skuteczniejszą, a przynajmniej na pewno równie skuteczną.

Liryka omawiana bliską jest odbiorcy nie tylko dzięki jej zawartości ideowej, bliska jest również dzięki jej charakterystycznym cechom warsztatu twórczego, dzięki komunikatywności języka poetyckiego, umiejętności mówienia o sprawach prostych i codziennych; dzięki poetyckiemu operowaniu konkretem. Słobodnik posiada w wysokim stopniu, umiejętność wydobywania z tematów prostych i mało pozornie interesujących — cech artystycznie atrakcyjnych. Dla poety nie istnieje temat nieatrakcyjny, bezwartościowy artystycznie, przykładem wiersz pt. „Skarpetki", w którym prosty motyw robienia skarpetek dla syna, nabiera sensu gorącego protestu przeciw wojnie.

Ciekawym zjawiskiem w omawianej twórczości jest uparcie powtarzający się motyw snu. Trzeba przyznać, że motyw ten jest dobrze wyzyskany i zręcznie wkomponowany w całość utworu („Ksiądz proboszcz", „W mroku", „Księżyce", „Anioł kuchenny"), użycie jego nie podyktowała poecie chęć ucieczki od otaczającej rzeczywistości.

IGRASZKI wpływologiczne nie są zajęciem mile widzianym. I słusznie. Wiemy do jakich absurdów doprowadzało nieraz drobiazgowe śledzenie — kto, z kogo i dlaczego. Niemniej ostrożne dawkowanie wpływologii, może wiele wyjaśnić i wiele pomóc w analizie dorobku poetyckiego, w prześledzeniu drogi twórczości.

Słobodnik wyrósł z kręgu Skamandra, zapewne przechodził kiedyś odrę młodopolszczyzny, zapewne ulegał wpływom najlepszych tradycji naszej poezji narodowej. Nie przeszedł obojętnie obok wielkiej indywidualności poetyckiej Staffa, a wreszcie jakiś osad na twórczości oryginalnej mógł zostawić obfity dorobek tłumaczeń z poezji obcej (Lorca, poeci francuscy i radzieccy). Mimo tak rozlicznych wpływów Słobodnik zachował indywidualność i orginalność swej twórczości.

Wpływy naszej najlepszej tradycji literatury narodowej przyczyniły się niewątpliwie do udoskonalenia języka poetyckiego, do cechującej omawiane wiersze plastyczności i barwności. Ślad Staffa znajdujemy przede wszystkim w utworach sielskich, gdzie obrazowość łączy się ze spokojną płynną frazą wiersza przesiąkniętego atmosferą pogodnej patrialchalności niektórych wierszy staffowskich.

Poeci obcy nie wycisnęli dostrzegalnego piętna na wyrosłej ściśle z tradycji polskich twórczości tłumacza Lorci.

Zanim przejdę do omawiania środków wyrazu poetyckiego, do zagadnień warsztatowych, chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedną cechę sylwety artystycznej poety, na patriotyzm występujący nie tylko w utworach powstałych na obczyźnie, przepojonych tęsknotą za krajem, lecz i w wierszach pisanych w Polsce, w okresie gdy wojna była jeszcze odległą groźbą.

Patriotyzm Słobodnika ma wiele cech patriotyzmu regionalnego. Urodzony na Ukrainie „syn dwu narodów" przylgnął do ziemi mazowieckiej, której poświęca wiele serca i słów.

Motyw przywiązania do mowy polskiej nie jest i nie może być tylko chwytem formalnym u poety, który doskonale opanował kunszt artystycznego władania tą mową. Słobodnik widzi i rozumie ojczyznę bardzo wyraźnie i konkretnie, poprzez widzenie ludzi, ziemi i języka. Ta wrażliwość poety w widzeniu rzeczy sprawia, że wiersze jego przemawiają obrazami i kształtami.

Obraz poetycki nie jest statyczny: element ruchu ożywia go. Zwykle jest to ruch powolny, kołyszący jak chód wielbłądów:

— Ida, jakgdyby doczesność im
Była jak pusty, przelotny dym, . . .
(Wielbłądy")

Nawet wrażenie muzyczne transponuje poeta na mowę obrazu:

— Fale o świcie są coraz różowsze,
Nad rzeką pasa się srebrzyste owce,
Nadciąga wicher, a za wichrem burza,
Nad ziemią chmura w bezkres się przedłuża.
Kropla za kroplą, grom za gromem pada
I oto błękit chwieje się na sadach... — („Beethoven")

Wyrazistość obrazów jest tylko jedną z cech bogatej w środki formalne twórczości Słobodnika. Twórczość tę wzbogaca różnorodność architektoniki utworów. Poeta nie zasklepia się w jednej formie wersyfikacyjnej. Od klasycznego sonetu, przez zróżnicowaną rytmicznie strofę, do prozy poetyckiej utworu „Już czas", znajdziemy wiersze o różnym rytmie, różnej budowie stroficznej.

Moim zdaniem lepsze zarówno pod względem konstrukcji jak i zorganizowania zawartości treściowej są liryki krótsze, 10-20 wierszowe, niż przeszło stu-wierszowe utwory w rodzaju „Nocne". W utworach krótszych dobrze wypada 11 zgłoskowiec, choć z dużą maestrią operuje Słobodnik 8, 7 a nawet i 6 zgłoskowcem. Doskonałe opanowanie rytmu i leksyki pozwala na pełne uzyskanie efektu śpiewności i muzyczności wiersza, pozbawionego chropowatości fonetycznej.

Poetyka wierszy jest bogata i różnorodna. Uderza przede wszystkim częste i naogół szczęśliwe stosowanie anafory, paralelizmów i refrenów.

— „Patrzymy na prawo — człowiek
Patrzymy na lewo — człowiek..." —

często anafora łączy się z paralelizmem intonacyjnym:

Nowi ludzie Mazowsza — witajcie!
Nowe dzieje Mazowsza — witajcie!
Dawne wody spłynęły,
Dawne piacky minęły...

WIELE ciekawego materiału dostarczyć może przeanalizowanie metaforyki poety. Trafne, ale oszczędne stosowanie metafory nie narusza równowagi znaczeniowej języka poetyckiego. Świadczą o tym takie metafory i porównania zestrojone z kontekstem jak — „naiwna para koni" — (Dyliżans) lub:

Pod niebem jak pod wodą
Stoi świątynia morska
Cała w sagach północnych,
Od modłów pirackich szorstka.
(Ballada o normandzkim kościele Wang w Bierutowicach)

Przejrzystość i piękno poezji Słobodnika bywa jednak czasami zmącone potknięciami formalnymi. Umiejętność operowania zwrotami i wyrazami, które nazwałbym „poetycko skompromitowanymi" jest wielką umiejętnością. Posiada ją w pełni autor „Modlitwy o słowo", jednak zbyt częste używanie tych zwrotów i wyrazów, ogranicza zapas materiału słownego, którym dysponuje poeta. Za dużo w omawianych wierszach „błękitów", „dziewczyn wiejskich", „smutku", „szeptu", często nie odczuwa się również tego, co malarze nazywają zestawieniem i wiązaniem kolorów.

Przykładem wiersza nie udanego, w którym zawartość ideowa i treściowa nie odpowiada formie jest utwór „Robotnicy" („Nowa muza" 1930) np:

— Nam to
Silnym, potężnym wszędzie,
Nam to —
Trwającym w wiecznym rozpędzie.

Większa ostrożność w używaniu rymów gramatycznych, większa inwencja w doborze zestawień rymicznych (a na to stać poetę) podniosła by wartość wielu słabszych formalnie utworów. Odnosi się to spostrzeżenie i do trudnego a niebezpiecznego w naszej wersyfikacji męskiego rymu chętnie używanego przez poetę.

Razić może czasem, używanie zbyt utartych nawet w latach trzydziestych, zwrotów poetyckich jak: „dziś płomienną walką natchnieni" („Robotnicy sportowcy") albo fragment wiersza do Wł. Reymonta

— „I zanurzywszy serce w TWARDYM CHŁOPSKIM ZNOJU
Jako zanurza pielgrzym usta w CZYSTYM ZDROJU".
(„Maryla")

lub:

— „I nagle kiedy w jasnych OCZU JEJ LAZURZE
Błysnęły łzy, jak wielkie sople lodu szklane". —

dalej niestety jest rym — róże.

OMAWIAŁEM dotąd (poza paru cytatami), utwory powstałe w latach 1927—46. Ostatni tomik Słobodnika „Światła na trasie" powstał w okresie gorączkowej i trudnej pracy nad odbudową kraju. Zmysł rzeczywistości, spotęgowany dużą wrażliwością artystyczną poety, sprawia, że tematyka zbiorku jest świeża, aktualna, wydobywająca sprawy ważne i żywe. Niestety w wielu utworach wobec ważkości tematyki nie jest adekwatny wyraz artystyczny. I tak np. nagrodzony na konkursie Wydz. Kultury i Sztuki MRN w Łodzi poemat „Pieśń o Łodzi Fabrycznej", nie należy do najlepszych utworów zbiorku. Plakatowość i sloganowość tego wiersza, nagromadzenie rekwizytów rozbijające zwartość tematyczną utworu, monotonność frazy wierszowej, wreszcie zbyt częste i nie zawsze uzasadnione artystycznie powtórzenia np. „Ręce, ręce i krosna. Ręce—siostry „roboty". „Ręce, ręce — sztandary. Ręce—siostry walczących" i dalej znów — „Ręce, ręce i krosna" — itp. powtarzane kilkakrotnie; stawia o wiele niżej „Pieśń" niż doskonałą „Noc na trasie". Optymizm utworu nie jest dostatecznie pogłębiony i odbiega swą powierzchownością od mającego silne oparcie w przeżyciu artystycznym optymizmu wielu innych utworów Słobodnika.

Są jednak, jak wspomniałem, w omawianym zbiorku wiersze, w których aktualność tematyki połączył poeta umiejętnie ze świetnie ukształtowaną formą, nawiązując do najlepszych tradycji swojej twórczości Obraz robotnika-olbrzyma sadzającego pisarza na zegarze czasu, jest sugestywny zarówno w swoim sensie ideowym jak i poetyckim wyrazie.

Nie smutek i nie melancholia
Z żałobnym wieńcem —
Robotnik, chłop wielki jak Goliat,
Wziął mnie na ręce.
On właśnie dobrym był murarzem
Na nowej trasie —
I mnie posadził na zegarze:
Na naszym czasie.

Urok obrazu poetyckiego uderza również we wspomnianej juz „Balladzie o normandzkim kościele Wang w Bierutowicach", przy czym wartość utworu zwiększa bogactwo metaforyki.

Zwartość i precyzyjność konstrukcji łączy się z postępową i humanistyczną postawą poety, widzącego w wymiarach rzeczy małych sprawy wielkie, w dobrym wierszu „Ziarnko kawy"

Zgina się Murzyn pod workiem
Stary jest i koślawy.
Glob ziemski stał mu się małym
I gorzkim ziarnkiem kawy.

Wrzucam do filiżanki
Cukier, lecz tej goryczy
Krzyczącej czarnym głosem
Biel cukru nie przekrzyczy.

Nieco krzywdzącym będzie dla poety pominięcie w niniejszym omówieniu jego wierszy bułgarskich, publikowanych w prasie literackiej. Wiersze te jednak, ukażą się zapewne w wydaniu książkowym.

W wierszach Słobodnika jest obok współczucia, potępienie błędów ludzkich, jest ostry protest przeciw niesprawiedliwości i wyzyskowi, przeciw złu czynionemu ludziom przez ludzi, nie znajdujemy jednak nienawiści do człowieka, tak obcej duchowi chrześcijaństwa.

Nic więc dziwnego, że bogata tematycznie i formalnie, humanistyczna i komunikatywna poezja Włodzimierza Słobodnika powiększa stale swój krąg odbiorców.

Włodzimierz Słobodnik „Wiersze zebrane", „Czytelnik" 1948.
Włodzimierz Słobodnik „Światła na trasie", „Książka i Wiedza" 1951.

Białe rękawiczki

(Dokończenie ze str. 6)

pomniała stalową taśmę. — Położę się tu — zapragnęła nagle. Brzegi szosy nęciły grubym pluszem pyłu, miękkim, ciepłym...

...Zmiłuj się Boże nad Niemcami...

usłyszała za sobą żarliwy szept Krysi. Obejrzała się. Krysia klęczała na środku szosy, a na ukos jezdni biegł Tadzio po swoją fuzyjkę. Już ją podnosił. Ucieszyła się. Nagle — zamknęła ze zgrozy oczy. Pod powiekami pozostał przerażający widok, wprost na dziecko, ogromnymi susami sadziła wściekła bestia. Z rozwartego pyska piana płatami śniegu znaczyła drogę... Otworzyła oczy i...

— Już są — usłyszała przytłumiony głos.

— Już? — Zapytywał drugi.

Serce wali jej mocno, mocno, jakby miało wyskoczyć — Co to? Władysław i Wolmer? — Znikli w drzwiach przedpokoju. Jest świt. Zaczyna r o z u m i e ć.

— O, Boże!, więc jednak są... Nie obronili... Chwyta ją dygot. Wyślizguje się z za stołu. Bierze leżący na krześle czyjś płaszcz. Przedpokój jest pusty. Drzwi do sieni otwarte. Na dole przy uchylonej bramie gromadka osób.

— Patrole już przejechały — słyszy głos Władysława. Tera musi iść będzie ich Wermacht.

Usiłuje również docisnąć się do bramy. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Niecierpliwie skubie rękaw Wolmera.

— A, dranie, jakie to maszyny maju.

— Juchy jedne, z parado walu, jak na Trzeciego Maja — słyszy dwugłos Antoniowej i Władysława.

Nareszcie udaje się jej uchwycić Wolmera za ramię. Obejrzał się. Rozgarnął nieco zbitą gromadkę. Prześlizgnęła się między nim a Władysławem.

— Tylko ostrożnie, panno Joasiu, proszę nie wychylać się — przestrzegał ją cicho.

Joanna zbiera w sobie całą siłę. Za chwilę zobaczy wroga. Już. Opanowała się.

Środkiem Narutowicza, akcentując paradny krok, idą świetne, zwarte kolumny Wehrmachtu. Po obu stronach w niewielkich odstępach jadą wolno czarne wojskowe motocykle...

Przeciera oczy. Nie wierzy im. Na kierownicach ciężkich maszyn spoczywają niedbale ręce opięte w b i a ł e r ę k a w i c z k i...

Chłód poranka kasa jej gołe łydki. Nie śpi... Przeciez nie śr

Jadwiga Poleszak

Andrzej ODNOWA

MOLIER PRZECIW PIĘKNODUCHOM

„UCZONE BIAŁOGŁOWY" W TEATRZE NOWYM

PRZEDSTAWICIEL rosnącego w zamożność i wpływy mieszczaństwa XVII w., Molier urodził się w pobliżu Hal paryskich, w sąsiedztwie bud jarmarcznych kuglarzy, niedaleko estrady włoskich komediantów; umarł zaś przy Dworze Króla - Słońca, najoświeceńszego władcy epoki. W tym zestawieniu zawiera się i synteza molierowskiego teatru. Od ludowej twórczości farsowej z grubym komizmem sytuacyjnym, z nieporadną często intrygą rozwija się on w kierunku realistycznej komedii psychologiczno-obyczajowej. Na miejsce marionetki wprowadza rzeczywistego człowieka i chce nie tylko bawić, lecz także uczyć, oddziaływać, kształtować życie. „Karykaturalne maski zmieniają się w wyraziste twarze ludzkie" — oto w skrócie rozwój teatru Moliera.

Także różne są dwie wersje molierowskich „wykwintnisiów": „Pocieszne wykwintnisie" z r. 1659, z okresu prowincjonalnych wędrówek, to jeszcze z prosta ciosana farsa, w której zakończeniu żwawo idą w ruch kije. „Uczone białogłowy" z 1672 r. to wcale realistyczna komedia obyczajowa, prawda, że z ustępami farsowymi, lecz zarazem i z intelektualno-dyskusyjnymi, w których wyrokuje się o czołowych sprawach wielkiego świata, nie wyłączając zagadnień filozofii. Oto skala geniuszu Moliera i awans, jakiego dostępuje jego teatr.

Państwowy Teatr Nowy w Warszawie — scena z komedii Moliera „Uczone białogłowy". Od lewej Armanda — J. Anusiakówna, Trysotyn — E. Fidler, Beliza — J. Zaklicka, Filaminta — M. Ćwiklińska, Lokajczyk — J. Stułko. Reż.: J. Grywińska, scenogr.: J. Hawrylkiewicz. Fot. E. Hartwig

„Uczone białogłowy", przedostatnie dzieło Moliera, zadziwiają starannością opracowania, wyjątkową u tego czynnego autora, dyrektora teatru i aktora w jednej osobie. Zadziwiają pod każdym względem. Budowa komedii jest niezwykle tym razem konsekwentna, w Teatrze Nowym trafne podkreślono ją, grając bez przerwy pierwsze dwa akty (wprowadzenie postaci i zarysowanie konfliktu), osobno trzeci (wprowadzenie rywala i pierwsze działania) i znowu czwarty łącznie z piątym (starcie i rozwiązanie). Wiersz tej komedii, 12-zgłoskowy aleksandryn, brzmi pięknie i pozwala na szeroki obraz rzeczywistości. W komedii harmonijnie współgrają akcja z intrygą i sytuacjami farsowymi, charakterystyka psychologiczna (wszystkie niemal postacie zostają ze sobą skonfrontowane na wzajem), wreszcie partie dyskusyjno-intelektualne. Bogactwo i wszechstronność myśli tej komedii, pozornie błahej, w istocie rzeczy głęboko problemowej, zasługują na osobną uwagę.

Jeden z krytyków-recenzentów warszawskich ubolewa, że Teatr Nowy wybrał z komedii molierowskich właśnie „Uczone białogłowy" na swą nową premierę, komedię o tak mało postępowej problematyce. Tkwi w tym osobliwe nieporozumienie, a zdaje się ono polegać na wąskim spojrzeniu na to dzieło, spojrzeniu ograniczonym niejako do samego tytułu. „Białogłowy"... więc „kwestia kobieca". Nieprawda! Zagadnienie równo — czy nierównouprawnienia kobiet jest marginesowym u Moliera, a właściwie prawie nie ma go w tej komedii, jak nie było go wówczas w życiu, bo nie zrodziły go jeszcze określone społeczno-gospodarcze stosunki.

Molier nie był zapewne i na tym punkcie mniej postępowym od najlepszych umysłów swej epoki. Widział w owym czasie miejsce dla zarobkowej pracy kobiety, uznawał jej twórczy wysiłek; swej żony nie wycofał np. ze sceny, choć wiodło im się w Paryżu niezgorzej. Na pewno nie lekceważył też roli kobiet w wytwarzaniu artystycznej i intelektualnej atmosfery czasu. Ustami Klitandra opowiada się za tym, aby kobieta miała ogólne wykształcenie, nie ograniczając się do tradycyjnych niemieckich trzech „K", do których najchętniej zacieśniłby jej rolę Chryzal. Walczy też Molier o ten odcinek sprawy kobiecej, który dojrzał już do reformy, o rozszerzenie swobody i szczerości we wzajemnych stosunkach obu płci: broni zdecydowanie młodych dziewcząt przed — sprzymierzoną ze skąpstwem — tyranią rodziców.

Z CZYM naprawdę walczył Molier, to z pretensjonalnością umysłową (nie tylko u kobiet), wszelkim fałszem, dętością, nienaturalnością snobizmem. Ale walkę toczy na szerszej płaszczyźnie filizoficznych prądów swego czasu, czasu, w którym wszystko stało pod znakiem dualizmu ducha i materii, ciała i duszy.

Jeśli poza realizmem integralnego humanizmu chrześcijańskiego pozostaje także idealizm i przesadny spirytualizm z jego uroszczeniem czystej duchowości, to w walce z tymi ostatnimi Molier jest nam sprzymierzeńcem. Maritain, oceniając w swych „Trzech reformatorach" filozofię Kartezjusza, długi rozdział poświęca angelizmowi, zarozumiałej, nie pokornej aspiracji, jaką w imieniu człowieka żywi ten myśliciel do odcieleśnionego bytowania na sposób aniołów. Belizy i Armandy Moliera przenoszą te uroszczenia w krąg spraw miłości — odwrotną stroną tych ponadludzkich aspiracyj stawały się, jak wiemy, obyczaje Wersalu, a wkrótce krańcowe rozluźnienie erotyczne cherubinów rokoka. Molier już w drugiej połowie XVII w. określał — tu np. przez usta Klitandra — swą postawę w sposób nież bliższy prawdzie rzeczywistej ludzkiej kondycji:

...„Daruj, ale równie ciało mam jak duszę,
I obojgu na równi snać jestem podległy.
W tych subtelnych odcieniach nie jestem dość biegły:
Niebo mi odmówiło filozofii takiej,
Stąd ciało z duszą u mnie trzyma krok jednaki
...Przyznaję, że gdy kocham, to już całym sobą".

W komediowym dialogu Moliera przewija się przewodni nurt dyskusji filozoficznej epoki, a rozwiązanie komediopisarza, klasyczne i zgodne z sens commun, nie odbiega daleko od nieśmiertelnej formuły, którą określił człowieka wielki chrześcijanin tego samego czasu, Pascal: „Ni ange, ni bête". (Ani anioł, ani bydlę).

Filozoficznym punktem wyjścia pięknoduchów i wykwintniś był więc natchniony przez Kartezjusza, a bardziej może jeszcze przez jego kontynuatorów idealizm. W nim to spekulacja, wyrozumowanie wygnało rozum, on produkował dalekie od natury, nieprawdziwe afekty, wymęczone beaux mots, nadęte wierszydła. W imię zdrowego rozsądku i powszechnego przekonania Molier zaatakował i filozoficzne podstawy i uwarunkowane z nimi wynaturzenia obyczajowe. Ukazując swoich sawantów — obojętne, w spodniach, czy w spódnicach — ośmieszył chorobliwe skrzywienia rozumu, często niebezpieczniejsze od prostej niewiedzy, potępił wiedzę nie troszczącą się o rzeczywistość, oderwaną od życia i nie służącą życiu. Kiedy ostoją podobnej umysłowości stały się salony kobiece, wziął i je na ostrze swej satyry.

Molier wydrwił ekletyzm kobiecych cenakli, łapiących na chybił trafił to i owo z każdego systemu, koteryjność tych towarzystw wzajemnej adoracji. Wydrwił nastroje ambicjonizmu, pochlebstwa i drażliwości w życiu literacko-naukowym. Wydrwił pedanterię uczonych, ich kosmopolityzm i szpikowanie utworów łaciną i greczyzną. Wydrwił żałosne wyczyny krytyków-besserwisserów, znajdujących w dziełach pisarzy to, o czym im się nigdy nie śniło. Jeśli nauka francuska łączy dziś gruntowność myśli z jasnością języka i przystępnością wykładu — jest w tym niemała zasługa Moliera i razów, które zadawał pedanterii i mętniactwu. Wydrwił wreszcie i przesadny puryzm językowy w kapitalnych i współtwórczo oddanych przez Boya przekrzywieniach słownych Marcyny. Wydrwił jednym słowem wszelkie pieknoduchostwo, wszelkie puste, austriackie gadanie, obce życiu i zdrowemu ludzkiemu rozsądkowi.

Przed oddaniem na scenę Molier czytał podobno każdą sztukę swojej kucharce. Co za piękna anegdota. I jak prawdziwa, co najmniej w swym przenośnym sensie. Siłą Moliera była właśnie ta więź z odczuciem prostego człowieka, owych Doryn i Marcyn, które wprowadza też do każdej ze swych komedii. W zetknięciu z tą ludową mądrością, jak pod dotknięciem lakmusu, wychodziły na wierzch ludzkie przywary i wynaturzenia, aby paść ofiarą zabójczego śmiechu Moliera.

INSCENIZACJA „Uczonych białogłów" w Teatrze Nowym dążyła do stworzenia widowiska realistycznego, które oddając prawdę obyczajową epoki, nie zatraciłoby ani właściwych teatrowi Moliera cech romańskiej farsy ludowej, ani satyryczno-polemicznego zacięcia. Reżyser *Irena Grywińska* nadała spektaklowi przejrzystość i wartkie tempo, uczyniła go żywym i bliskim dzisiejszemu widzowi. Tok rezonerskiego miejscami dialogu szczęśliwie na ogół rozbijały wprowadzone sytuacje farsowe w rodzaju panicznych ucieczek męża-pantoflarza przed groźną magnifiką. Scena czytania wierszy z „acham!" i „ochami" słuchaczek zmieniła się w persyflaż dotkliwie ośmieszający, choć nieco przerysowany w wykonaniu. Wypowiedzi feministek zakładających kobiecą akademię rozwinięto w rodzaj zebrania z powstawaniem przy zabieraniu głosu itp. Urozmaicało też dialog może aż zbyt bogate użycie gestu, choć niekiedy gest stawał się komicznie wymownym skrótem wyznania światopoglądowego, jak ów palec wznoszony ku górze przez sawantki dla wyrażenia ich wygórowanego idealizmu. Wiersz mówiono na ogół dość czysto i naturalnie, lecz zdarzały się i wyraźne błędy w akcentach logicznych i uczuciowych, szczególnie w tekście Armandy. Mimo wszystko bohaterem wieczoru był Boy jako tłumacz, jego wspaniały wiersz i soczyste i mądre zarazem słowo.

Oprawa plastyczna współdziałała choć nie w pełnej mierze, z zamierzeniami reżyserii. Dekoracje *Jana Hawrylkiewicza*, jasne, o uderzającej symetrii i racjonalności, w zgodzie z duchem wieku, przemieniły szczupłą scenkę Teatru Nowego w okazałe realistyczne wnętrzne mieszczańskie z patronującą mu podobizną gramatyka Vaugelasa. Drugi plan, z pałacem i ogrodem francuskim w głębi, był nawet zbyt okazały; podobny mógł odpowiadać apartamentom książęcym w „Emilii Galotti" Lessinga, lecz na pewno nie domowi mieszczanina, choćby wzbogaconego i w zażyłości ze szlachtą (to, co Trysotyn mówi o „dworze" Filaminty, wydaje się zwykłym poetyckim ozdobnikiem). Przyjemne na ogół dekoracje były mimo wszystko zbyt spokojne i poważne i dopiero *Olga Imbierowicz* (kostiumy) znalazła dość trafny równoważnik plastyczny dla satyrycznych intencyj Moliera: kostiumy postaci pozytywnych odznaczały się prostotą, wytworną czy tylko schludną (np. u Marcyny), stroje sawantek odbijały — swą dziwacznością, przeładowaniem, jaskrawymi barwami — ich pretensjonalną umysłowość.

Istotniejsze błędy przedstawienia wynikały z nie zupełnie słusznej obsady ról kobiecych, które wypadły też mniej szczęśliwie od męskich. Wiąże się to bodaj z resztkami pokutującego do niedawna w Teatrze Nowym „gwiazdorstwa" i zaważyło na kształcie partii satyrycznych. Powiedzmy sobie szczerze: Filamintę, przewodzącą uczonym białogłowom, wyobrażamy sobie inaczej. Jeśli odliczymy nawet sporo na rzecz prawa do przesady, które przysługuje komedii i satyrze, *Mieczysława Ćwiklińska* przesadziła w kierunku niewłaściwym, choć wyznaczonym przez osobiste warunki i przeszłość sceniczną znakomitej artystyki. Z Filaminty weszła tu na scenę nie tyle śmieszna ile nieprzyjemna jędza, opryskliwa, o głosie wrzaskliwym. W tej sawantce zbyt wiele było ciała i krwi, zbyt wiele osobistej pasji. Tymczasem bohaterka komedii Moliera jest jakby wcieleniem bezosobowych zasad, jest domowym tyranem, ale jest zarazem sawantką i okazuje się nawet rzeczywistym życiowym filozofem. Jeśli się o coś piekli, to o zanieczyszczanie i pospolitość języka, o poziomość poglądów otoczenia; swe rządy w domu uważa za proste następstwo zasady stawiającej ducha przed ciałem.

„Jeszcze jej pokażę wkrótce...
Czy ojcu czy matce rządzić tu przystało,
Czy forma czy materia, czy duch czy
też ciało".

Sentymentalną „precieuse" dawnego autoramentu zarysowała *Jadwiga Zaklicka*. Jej Beliza była zasuszoną, starą, i staromodną panną o wysokim głosie karykaturalnej mimice, zza których można było domyślać się minionego wdzięku młodości, wykrzywionego przez sztuczność.

Interesujący kontredans nastąpił w obsadzie ról Armandy i Henryki. Pozornie wbrew właściwościom gry obu artystek, w roli pierwszej ujrzeliśmy *Janinę Anusiakównę*, w drugiej — *Benignę Sojecką*. Anusiakówna nawet przy swych pięknych warunkach zewnętrznych nie łatwo wyszła obronną ręką z niewdzięcznej roli Armandy, dziewczęcia rozdartego między modnymi aspiracjami czystego uduchowienia i naturalnymi porywami młodego serca. Wśród skomplikowanych odcieni: intelektualnego snobizmu i wyższości, zranionego uczucia, mściwości, obłudy odtwórczyni roli nie w pełni jeszcze władała swą mimiką, zwłaszcza uśmiechem, niekiedy nieco sztucznym. Obiecująco wypadł eksperyment z Sojecką w obcej zdawałoby się tej artystce roli Henryki. Sojecka przejawiała dotąd w swej grze skłonność do idealizacji, tutaj zagrała ze znacznym realizmem, ze zmysłem przekory, ironii, pikanterii. Nawet pozostałości dawnego ujęcia zbyt czułostkowego nie raziły tym razem i potwierdzała się tu zasada kontrastowości, tak ciekawie sformułowana przez Stanisławskiego w „Moim życiu w sztuce": „Gdy grasz złego, szukaj w nim dobroci". Ostatnia rola kobieca, kucharki Marcyny w wykonaniu *Anny Jaraczówny*, brała widza przede wszystkim jędrną ludową interpretacją wiersza.

NA CZOŁO ról męskich wybijał się *Aleksander Michałowski*, artysta o nieodpartym, jak u Kurnakowicza, naturalnym komizmie, wypływającym już niejako z samej barwy głosu. Z Chryzala — na prapremierze przed trzema wiekami grał go sam Molier — stworzył postać wygodnego sabaryty, któremu dobrze z własną przyziemnością. Nieźle wydobył śmieszną rozpacz Chryzala, kiedy mu wypędzono kucharkę, jedyną istotę do rzeczy w rozfilozofowanym domu. Natomiast głośna scena jego cofnięcia się, zwrotu do kompromisu, zadziwiający wyraz wiedzy o człowieku, nie została dostatecznie uwypuklona w całej swej psychologicznej celności i komizmie. Zupełnie poprawnie zagrał grzecznie pozytywną już u Moliera rolę Arysta — *A. Possart*, trochę może za młody na brata Belizy i Chryzala. *J. Kozłowski* (Klitander) miał nie najlepsze wejście, był w nim za mało „honnête homme", a zanadto sprawiał wrażenie nijakiego, pustego światowca. Potem rozegrał się i podołał na ogół zadaniu.

Postacie uczonych poetów Trysotyna i Vadiusa kontrastowały ze sobą zarówno strojem jak ruchem i głosem. *M. Winkler* podkreślił ciemnią stroju, nieruchawością, grobowym głosem — ciężki intelektualny kaliber grecysty Vadiusa. Odwrotnie *Edmund Fidler*, cienki, upstrzony, z piskliwym nosowym głosem był lekkim uczonym — salonowcem, specjalistą od madrygałów. Jego recytacje, każda inna, miały w sobie siłę komicznego wyrazu. „Sonet na febrę Księżniczki Uranii" (Mlle de Longueville) i epigram na karetę wyjął Molier żywcem z „Oeuvres galantes" X. Cotin. Bawią nas i dzisiaj swym nadętym konceptyzmem. Ośmieszony w swym wierszu oraz w postaci Trysotyna 70-letni akademik nie śmiał się po wystawieniu komedii na oczy ludziom pokazać i zmarł wkrótce ze zgryzoty. Okrutna była dla przeciwników zjadliwość pióra Moliera.

Przedstawienie „Uczonych białogłów" uznać można za zbiorowy sukces reżyserii, twórców oprawy plastycznej oraz całego zespołu Teatru Nowego. Widowisku rokować można długotrwałe powodzenie. Po szeregu słabszych ostatnich premier z „Milionowym jajkiem" i „Swobodnym wiatrem" komedią molierowską przełamuje Teatr Nowy prześladującą go długo złą passę. Cieszylibyśmy się z trwałości tego zwrotu, szczególnie wobec odpowiedzialności, jaka ciąży na tym Teatrze za wychowanie estetyczne swej dość odrębnej widowni.

Andrzej Odnowa

NOTKI KULTURALNE

Liczba amatorskich zespołów teatralnych i orkiestrowych w Bułgarii wynosi obecnie około 2,200, a liczba uczestników w tych zespołach sięga cyfry 40.000 osób.

*

W zeszłorocznym przeglądzie działalności zespołów amatorskich wzięło udział 30.200 uczestników. Do eliminacji centralnych stanęły 34 zespoły z 2.200 osobami.

*

W 1944 w Bułgarii ogólny nakład wszystkich wydanych książek wynosił ok. 6.000.000 egz. W r. 1949 wydano 1925 pozycji o łącznym nakładzie 15.642.000 egz. a w 1950 r. 2155 pozycji, o łącznym nakładzie 18.859.340 egz.

*

W grudniu r. ub. znany pisarz radziecki Aleksander Fadiejew obchodził 50-lecie urodzin. Fadiejew jest autorem powieści „Młoda Gwardia" „Czapajew" i innych.

*

Liczba wiejskich kin w Rumunii wzrosła z 75 w roku 1948 — do 916 w roku 1951. Oprócz tego objeżdża obecnie wsie rumuńskie 55 ambulansów filmowych.

*

Dawne Kasyno w Konstancy (Rumunia) będzie wkrótce przerobione na Dom Kultury.

*

W Rumunii czynnych jest obecnie 18.777 bibliotek publicznych. Posiadają one ogółem 4.839 744 tomów książek tak z dziedziny literatury jak i nauki. Z bibliotek tych skorzystało milion robotników (1 kwartał r. 1951).

Wojna nie osłabiła twórczości pisarzy koreańskich. W ciągu jej trwania powstało 81 utworów prozą, 135 utworów dla dzieci, 152 poematy i wiersze i 54 sztuki teatralne.

*

Nakładem Wydawnictwa Słowników w ZSRR ukazało się dotychczas 267 słowników języków obcych. W ciągu najbliższych 12 lat ukaże się 213 nowych słowników; w tej liczbie 50 słowników w językach narodów ZSRR.

*

W Chinach południowo-zachodnich i środkowych dobiega końca reforma rolna. W r. 1951 w Chinach południowo-zachodnich reforma rolna objęła obszar zamieszkały przez 30.000.000 ludności wiejskiej. Aktywną pomoc w przeprowadzaniu reformy rolnej okazują chłopom chińskim ochotnicze brygady robotnicze i młodzieżowe.

*

Na V Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentarnych w Edynburgu zostały wyróżnione trzy filmy polskiej produkcji „Szeroka droga" reż. J. Gordona „Wielki redyk" reż. St. Możdżewskiego oraz „Pantofelek" reż. M. i K. Marczaków.

*

Odznaczona Nagrodą Pokoju książka Fuczika „Reportaż spod szubienicy" osiągnęła sto wydań. Przetłumaczono ją w 30 państwach na 50 języków. W ZSRR ukazała się ona w 25 wydaniach. W USA miała 3 wydania.

*

Książka prof. Infelda pt. „Wybrańcy bogów" — została ostatnio wyróżniona przez amerykański klub postępowych pisarzy „Liberty Book Club" w Nowym Jorku.

ILU NAS JEST?

nomenem ruchu. Ażeby sobie jasno zdać z tego sprawę należy pamiętać, że przed tysiącem lat na miejscu dzisiejszego Berlina stała mała wioska słowiańska — Nowa Wieś; że 800 lat temu na placach dzisiejszej Moskwy koczowały jakieś fińskie plemiona; że przed 400 laty na terenach dzisiejszego Nowego Jorku polowali Indianie, a nie dawniej niż 200 lat temu tam gdzie dziś wznosi się milionowe miasto Melbourne czarni Australijczycy z bumerangami w ręku gonili za kangurami. Jeżeli porównamy mapę gęstości zaludnienia Polski z czasów Kazimierza Wielkiego, opracowaną przez Ladenbergera, mapę gęstości zaludnienia w Atlasie wojennym Romera z roku 1916 i w atlasach współczesnych, zobaczymy całe bogactwo przemian, jakim podlegało zaludnienie Polski w ciągu sześciu stuleci.

W obecnej chwili nie tylko przeżywamy naszą rewolucję przemysłową, ale i rewolucję demograficzną, a mianowicie masowe migracje młodzieży wiejskiej do ośrodków przemysłowych. Mapa gęstości zaludnienia Polski zmienia się codziennie.

STRACH JEST ZŁYM DORADCĄ

GWAŁTOWNY wzrost ludności Ziemi, obserwowany w naszej epoce, największy od momentu kiedy człowiek zjawił się na naszej planecie, napawa świat kapitalistyczny skrajnym pesymizmem. Strach jest złym doradcą, dlatego obserwujemy świadome czy nieświadome fałszowanie rzeczywistości przez neomaltuzjanów oraz tworzenie różnych fałszywych teorii, opartych na podstawie zbyt pochopnej generalizacji oraz liczb, dowolnie i tendencyjnie wybranych ze statystyki.

Z tych fałszywych teorii wymienimy tylko najbardziej perfidną, bezczelną i niebezpieczną, która głosi że kula ziemska jest już „przeludniona" i że owo „przeludnienie" jest przyczyną nędzy krajów gospodarczo zacofanych jak i przyczyną wojen w krajach uprzemysłowionych. Teoria ta mówi między innymi, że wojny są prawem natury, a ich bezpośrednią przyczyną jest gwałtowny przyrost naturalny i potrzeba nowych obszarów dla osiedlenia nadwyżki ludności. Stąd osławiony „Lebensraum" i geopolityka Haushofera.

Jeżeli obiektywnie podejść do zagadnienia i wszystkie wojny brutalnie obedrzeć z ich barbarzyńskich nawarstwień „ideologicznych", spojrzeć na historię ze społecznego punktu widzenia, to okazuje się, że nie było niemal wypadku, żeby naród głodny napadł na syty, biedny na bogaty, słaby na silny. Natomiast historia dostarcza niewyczerpane ilości przykładów przeciwnych. Dzieje ludzkości to długa lista wojen, najazdów, mordów i prześladowań, w których niezmiennie słabszy naród padał ofiarą silniejszego. Większość wojen przynoszących niewypowiedziane cierpienia milionom ludzi narzucana jest przez nieliczne jednostki trawione gorączką złota. Klasycznymi przykładami mogą służyć wojny opiumowe przeciwko Chinom w połowie ubiegłego stulecia i wojna boerska w Afryce południowej na przełomie XIX i XX wieku.

Przecież nawet w świecie kapitalistycznym nikt chyba nie wątpi, że I wojnę światową wywołały państwa imperialistyczne o najwyższej stopie życiowej i wybitnie korzystnych warunkach demograficznych, a nie ludy i narody mające największy przyrost naturalny. W r. 1932 wyszła książka Burgdorfera pt. „Volk ohne Jugend"„ w której autor na 400 stronach woła na alarm z powo-

(Dokończenie ze str. 3)

du spadku przyrostu naturalnego i wymierania narodu niemieckiego. Czy w świetle tej książki napad Hitlera na Polskę i całą Europę był koniecznością ekonomiczną, czy też świadomym przedsięwzięciem bandyckim na skalę państwową?

W ustroju kapitalistycznym zabijanie ludzi jest jednym z najbardziej popłatnych interesów. W rezultacie II wojny światowej cały niemal kontynent Azji zrzucił już jarzmo wyzysku i ucisku kolonialnego. Walki wyzwoleńcze toczą się jeszcze na trzech półwyspach: Malajskim, Vietnamie i na Korei. Czy w świetle faktów przedstawionych powyżej można twierdzić, że żołnierze amerykańscy, francuscy i angielscy zabijają Koreańczyków, Vietnamczyków i Malajów dlatego, że ich kraje są przeludnione, czy dlatego, że służy to interesom amerykańskich fabrykantów broni, francuskich bankierów i angielskich akcjonariuszy kopalń cyny i plantacji kauczuku?

WOJNA I DEMOGRAFIA

Z DEMOGRAFICZNEGO punktu widzenia obydwie wojny światowe różnią się od siebie zasadniczo. Pierwsza rzeczywiście zahamowała przyrost naturalny ludności Ziemi. Straty w zabitych na polu walki, obliczane na od 9 do 13 milionów wyniosły wprawdzie mniej niż przyrost ludności całego globu w ciągu jednego roku pokojowego (1913), lecz poważny uszczerbek spowodował deficyt urodzeń. Według obliczeń demografów w samej tylko Europie straty te zamykają się w granicach od 20 do 25 milionów. Do powyższych strat należy doliczyć zgony na skutek powojennych epidemii, wśród których tyfus i hiszpanka zebrały największe żniwo. Liczby tych strat trudne są do wyodrębnienia i obliczenia na podstawie danych statystycznych. Jest jednak rzeczą wiadomą, że w jednym tylko roku 1918 w samych Indiach hiszpanka zabrała ponad 10 milionów ludzi.

Straty w ludziach II wojny światowej na skutek działań wojennych wyniosły również około 13 milionów; do tego dochodzą dokonane przez hordy hitlerowskie mordy ludności cywilnej, przekraczające wszystkie zbrodnie jakie świat dotąd widział. Zbyt świeżo mamy je w pamięci, aby trzeba było je opisywać. Straty ludności cywilnej zbliżają się do liczby 18 milionów, z czego 10 milionów przypada na ZSRR, 4,5 miliona na Polskę, 1,5 miliona na Jugosławię reszta na inne kraje. II wojna światowa nie pociągnęła za sobą większych epidemii a co dziwniejsze nie notowano prawie deficytu urodzeń nawet w najbardziej dotkniętych przez nią krajach. Toteż ludność Ziemi w tych straszliwych latach 1939—45 wzrosła co najmniej o 100 milionów.

Pierwsza wojna światowa zmieniła mapę polityczną wschodniej Europy, ale w minimalnym tylko stopniu zmieniła mapę narodowościową, pozostawiła natomiast trwałe zarzewie niepokoju w Europie Wschodniej — problem mniejszości narodowych. Wystarczy spojrzeć na mapę narodowościową sprzed 1939 roku, żeby się o tym natychmiast przekonać. Co nas przede wszystkim uderza na tej mapie, to dwa potężne kliny niemieckie wbite w ziemie słowiańskie: jeden wzdłuż Odry oddzielający Polaków od Czechów i drugi wzdłuż Bałtyku, oddzielający Polaków od morza. Oprócz tych dwóch klinów widzimy na tej mapie niezliczoną ilość mniejszych i większych niemieckich wysp narodowościowych rozsianych na całym obszarze między Odrą i Wołgą.

Druga wojna światowa zmieniła narodowościową mapę Europy. Wielkie zwycięstwa Armii Radzieckiej zlikwidowały rezultaty tysiąca lat „Drang nach Osten". Nastąpiło zjawisko, którego rozmiary w krótkim okresie czasu przeszły wszystkie wędrówki ludów, jakie zna historia: w ciągu kilku lat 11 milionów Niemców powróciło w granice rdzennych ziem niemieckich, a 6 milionów Polaków osiedliło się na Ziemiach Odzyskanych. Praktycznie rzecz biorąc w rezultacie II wojny światowej nie ma już zagadnienia mniejszości narodowych w całej Europie. Mapa polityczna Europy Wschodniej upodobniła się do Zachodniej, to znaczy pokrywa się z narodowościową.

WOJNA I POKÓJ

POZOSTAŁO natomiast palące zagadnienie polityczne. Tragedia ludzkości polega na tym, że w czasie dwóch ostatnich wojen światowych Ameryka poniosła minimalne straty, natomiast dorobiła się kolosalnie. W rezultacie pierwszej sytuacja Stanów Zjednoczonych w stosunku do Europy zmieniła się biegunowo: z jej dłużnika stały się jej wierzycielem. Druga wojna światowa spotęgowała jeszcze ten stan. Podczas gdy Europa wiła się w konwulsjach wojny, kiedy milionami ginęli jej ludzie a przemysł walił się w gruzy, Stany Zjednoczone rosły w bogactwo. Na miejsce każdej zburzonej fabryki w Europie powstawała inna w Ameryce. Z końcem II wojny światowej wszystkie rządy krajów kapitalistycznych w Europie znalazły się na żołdzie USA. System kolonialny zmienił się radykalnie — teraz Ameryka ma swoje kolonie w Europie.

Ten stan rzeczy jest jednym ze źródeł obłąkańczej psychozy wojennej w Stanach Zjednoczonych, których politycy spodziewają się, że i trzecia wojna światowa będzie miała podobny przebieg jak dwie wojny ostatnie. Stąd odbudowa wermachtu i stawianie na niezawodnych junkrów pruskich, którzy w ciągu 75 lat sprowokowali 5 wojen w Europie (1864, 1866, 1870, 1914, 1939). To co się dzieje teraz w Trizonii można bez żadnej przesady nazwać przygotowaniami do 6-tej wojny junkierskiej w Europie.

Jeśli spojrzymy na ludzkość w perspektywie czasu i przestrzeni, to przed naszymi oczyma rozwija się niezmiernie ciekawy, barwny ale i krwawy film. To, co możemy dzisiaj objąć wzrokiem, jest tylko bardzo małym odcinkiem długiej taśmy. Przeszłość staramy się usilnie odtworzyć z podartych jej strzępów.

A przyszłość?

Przyszłość rodzaju ludzkiego zależy od rozumu politycznego milionów ludzi, a w pierwszym rzędzie mieszkańców zachodniej Europy. Zależy od tego, czy zrozumieją: że okres bezkarnego ucisku i wyzysku narodów „kolorowych" minął bezpowrotnie; że na widownię polityczną wchodzą nowe prężne i dynamiczne ludy i narody, które na terenie Azji przeżywają teraz wielki renesans swojej starożytnej kultury; że dzisiejsza Europa Zachodnia jest w takim samym stosunku do kontynentu Eurazji w jakim była starożytna Grecja do nowych sił politycznych po wojnie Peloponezkiej; że nie należy ulegać panicznym nastrojom fałszywych Demostenesów; że przeciąganie struny w pobrzękiwaniu szabelką może mieć tylko jeden skutek — nowoczesną Cheronęę; że trzecia wojna światowa może zmienić stosunki narodowościowe w Europie tak zasadniczo, że fantazja ludzka jest za uboga, aby potrafiła to przewidzieć; że nie ma zbyt wysokiej ceny, jaką wszyscy ludzie mogliby zapłacić za jedno wielkie słowo: P O K Ó J;

M. T. Milewski

WIECZORY POD LIPĄ

Czy osioł jest głupi?

CZY osioł jest głupi? — Oczywiście! Czy świnia jest brudna? — Jakże by świnia mogła być czysta! Czy jacet wygłaszający zupełnie serio takie poglądy może być uważany za człowieka inteligentnego? — ??? (Zdumienie zbyt wielkie, żeby mogło się wyrazić chociażby w wydłużonym o całe mnóstwo dodatkowych „O": „Coooo?").

„Przecież wszyscy wiemy...". Przepraszam, wszyscy „wiemy", czy też „wszyscy mówimy"? Bo to wcale nie to samo. Mówimy np.: „większa połowa", „tym niemniej", „ w międzyczasie", „pojechał w gości", „w drodze wyjątku", mówimy także: „wyjątek potwierdza regułę", „jak chłop babę nie bije, to w niej wątroba gnije", „różdżką dziateczki Duch święty bić rodzi...", „takie teraz czasy, pani kochana", „złego kościół nie naprawi, dobrego karczma nie zepsuje", „co komu przeznaczone, to go nie ominie", „z zapałem godnym lepszej sprawy", „ja już taki (taka) jestem", „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna". Pan Józef Prudhomme (por. felieton Boya „Jubileusz głupstwa" w tomie „Śmiech, uśmiech i zgroza") „profesor kaligrafii i przysięgły znawca sądowy", mawiał nawet: „Rydwan państwa żegluje po wulkanie" oraz: „Tak panie, gdyby Bonaparte pozostał porucznikiem, dotąd jeszcze byłby cesarzem".

Czegóż to się nie mówi! Najgorsze zaś, że powtarzane wielokrotnie głupstwo przestaje po jakiś czasie irytować nawet najrozsądniejszych, uzyskuje najpierw prawo azylu w sferze tak zwanych „popularnych powiedzeń", z biegiem czasu nabiera powagi i znaczenia, aż wreszcie wchodzi do skarbca „wartości kulturalnych" jako szacowne i nienaruszalne tabu. Nie wszystkie, oczywiście, głupstwa robią karierę Spora ich przepada po drodze, wsiąka z powrotem w bajoro bezmyślności, z którego wyszły. Mimo to jednak utrzymuje się przy życiu tyle z pośród nich, że stanowią one w każdej fazie rozwoju historycznego poważne niebezpieczeństwo dla istniejącej kultury.

Nie chodzi bowiem tylko o głupstwa „jako takie". Daleko ważniejszy jest fakt, że przyjęło się ono, że jako przysłowie, porzekadło, aforyzm, jako „złota myśl" z kalendarza czy sztambucha krąży po świecie przenosząc zarazki intelektualnego otępienia z mózgu do mózgu.

Tu właśnie tkwi sedno sprawy. Gdyby nikt nie wyczekiwał go jak kania deszczu, nie przyjmował w dom jak upragnionego gościa, każde głupstwo musiałoby wkrótce po urodzeniu zamrzeć naturalną śmiercią. I byłby spokój.

Cóż, kiedy dzieje się inaczej. Każdy musi zajmować wobec faktów i zjawisk dookolnego życia jakieś stanowisko. Nie można przecież podziwiać świata i jego spraw z otwartą gębą.

Ba! Stanowisko, ale j a k i e stanowisko? Takie rzecz oczywista które zapewniałoby mi dobre samopoczucie oraz pewność, że umiem sobie radzić z rzeczami i sprawami naszej rzeczywistości. „Miłość własna jest zręczniejsza niż najzręczniejszy z ludzi" — powiada La Rochefoucald -- a ona to bywa zazwyczaj, nie zaś chłodna i krytyczna znajomość, budowniczym tego, co potocznie nazywamy „światopoglądem".

Tak, chcemy mieć „światopogląd", chcemy „rozumieć życie", chcemy „wiedzieć, czego chcemy". I gromadzimy stąd i owąd różne mądrości, poglądy, spostrzeżenia, powiedzenia, refleksje, sposoby zachowania się i myślenia, postawy, gesty, nawyki, aż wreszcie staniemy się „dojrzali", „wykrystalizowani", „świadomi". Jeżeli zaś nawet sumienie intelektualne szepnie nam dyskretnie do ucha, że ostatecznie nie mamy z czego być tak dumni, że nasz światopogląd jest pstrokatym płaszczem zszytym z różnobarwnych kawałków, postaramy się nie usłyszeć tego głosu.

Z samym sobą może każdy wyprawiać najdziksze brewerie. Gorzej bywa, gdy trzeba sobie radzić ze sprawami świata zewnętrznego. Fakty bywają natrętne i złośliwe. Bardzo często ujawniają one przykrą skłonność do kompromitowania naszego światopoglądu i naszych — tym światopoglądem inspirowanych — poczynań praktycznych. Okazuje się np., że ktoś nie umiał sobie poradzić należycie z wychowaniem dzieci. Jest człowiekiem „dojrzałym", „wie czego chce", ale oto staje bezradny wobec kłopotów, jakich przysparzają mu raz po raz dorastające pociechy.

Jest to sygnał, że należy przeprowadzić rewizję swojego światopoglądu i na jego wskazaniach opartej praktyki życiowej. Czy wolno mi zwalać winę na „złe czasy", na „złe wpływy", na jakiekolwiek w ogóle przyczyny zewnętrzne i tylko im przypisywać wszelkie kłopoty? Czy jeśli któreś z dzieci wykazuje „zły charakter", nie jest to skutkiem błędnego wychowania domowego? Groźna chwila! Z „światopoglądem" może być źle! Może się okazać, że trzeba zrewidować swoje zapatrywania i nałogi myślowe, podjąć ciężką pracę samowychowania, a równolegle z nią pracę nad ratowaniem zagrożonego zdrowia moralnego dzieci.

Ale oto już człapie z kąta rozlazły diabeł bezmyślnego lenistwa i mamrocze: „Młodość musi się wyszumieć". Ha! znaleźliśmy wyjście z przykrej sytuacji! Moralność katolicka? — No, oczywiście! Jakżeby bez moralności?... Obowiązki rodzicielskie? — Wiadomo, wiadomo! — Ale przecież, panie, młodość musi się wyszumieć! Pan też napewno nie zawsze był taki święty... co? He, he, he! Zleca panie, te młode lata niewiadomo kiedy... Niech tam sobie dzieciaki świata użyją.

I młodość „szumi". Czasem rezultatem takiego „szumienia" są rozmaite urazy i załamania psychiczne, czasem bywa jeszcze gorzej... Ale i wtedy nawet nie zabraknie intelektualnej (?) pociechy: „Cóż? Wypadki chodzą po ludzach", „Co komu przeznaczone...", „Taka, widać, była wola Boska".

— A, dajże pan spokój, panie Kolec! Ludzi pan w biały dzień straszysz? Od osła pan zaczął, a kazaniem pan kończy? Jak felieton, to felieton, a nie morały!

— Ba, widzi pan, kiedy to wcale nie taka prosta sprawa z tym osłem. Skoro pan w i e, że osioł jest zwierzęciem całkiem inteligentnym, a świnia bywa brudna tylko wtedy, kiedy jej właściciele są niechlujami, i skoro pan pamięta o tym, to niech pan tam nawet powie sobie od czasu do czasu: „głupi jak osioł" i „brudny jak świnia". „No, bo i cóż?" — jak powiada Robert Burns. Nie będziemy przecież zwoływać specjalnej komisji uczonych, aby rozważała sensowność tego czy innego porzekadła.

Źle jednak, kiedy takie porzekadło traktuje pan jako stwierdzenia obiektywnego stanu rzeczy, jako sąd o rzeczywistości. Gorzej jeszcze, kiedy tego rodzaju „mądrości" stają się dla pana wytycznymi postępowania. Najgorzej zaś jest wtedy, kiedy dochodzi pan do wniosku, że można już zrezygnować z pracy nad dalszym swoim rozwojem intelektualnym i moralnym, bo przecież pan i tak w każdym konkretnym wypadku „wie, co o tym myśleć". Gdy ktoś zakwestionuje jakikolwiek pański pogląd i powie, że np. bicie dzieci jest złym zabiegiem wychowawczym, że niewłaściwy tryb życia może zdemoralizować jednostkę nawet bardzo wartościową, że jeśli ktoś łamie nogę, to nie dlatego, aby mu to „było przeznaczone" — usłyszy w odpowiedzi oschłe: „M n i e pan nie będzie uczył. Pan wie swoje, a ja swoje".

Z chwilą, gdy przyjdzie panu do głowy tak reagować na myśli dla pana obce, całe pańskie życie duchowe zacznie się przekształcać w układ szablonów, schematów, sloganów, frazesów. Zacznie się zamieranie pańskiej osobowości.

— Rozumiem pana, rozumiem. Mądrej głowie dość pałka w łeb. Co racja to racja. Ale przypomniało mi się takie jedno stare przysłowie...

— Jakie?

— Ty sobie mów...

Bogumił Kolec

Uwaga **Uwaga**

KATECHIZM
religii katolickiej

Cena Zł 10.-

Instytut Wydawniczy „PAX" Biuro Sprzedaży, Warszawa Mokotowska 43, P.K.O, I-8515

PO FESTIWALU MUZYKI POLSKIEJ

KRÓTKA notatka prasowa obwieściła na łamach wielu dzienników wiadomość o Państwowych Nagrodach Artystycznych w roku 1951 przyznanych podczas Festiwalu Muzyki Polskiej.

Po przeszło 8 miesiącach trwania Festiwal został zakończony, a najlepsi jego uczestnicy nagrodzeni.

W dziedzinie twórczości otrzymali nagrody:

Za Kantaty I nagrodę otrzymał Bolesław Wojtowicz za kantatę „Prorok" do słów Puszkina, II nagrodę Alfred Gradstein za kantatę „Słowo o Stalinie" do słów Władysława Broniewskiego, III — Kazimierz Wiłkomirski za „Kantatę Wrocławską" do słów T. Marka oraz Kazimierz Serocki za kantatę popularną „Warszawski murarz" do słów A. Domeradzkiego.

Za utwory symfoniczne II nagrodę otrzymał Zygmunt Mycielski za „Obrazy Symfoniczne". Wyróżnieni zostali Henryk Czyż za „Wariacje na tematy polskie" Włodzimierz Kotonski za tańce góralskie, Jan Krenz za opracowanie dawnej muzyki polskiej (Symfonie Milwida i Dankowskiego).

Za utwory na instrument lub głos z orkiestrą I nagrodę otrzymał Witold Lutosławski za „Tryptyk Śląski", II nagrodę Kazimierz Sikorski za „Koncert na róg". Wyróżniony został F. Mahl — za koncert organowy. Za utwory kameralne I nagrodę otrzymali Grażyna Bacewiczówna za całość twórczości festiwalowej i Stanisław Wiechowicz za suitę „Kasia", II nagrodę Jan Ekier — za „Kolorowe melodie".

Za pieśni masowe I nagrodę otrzymał Witold Lutosławski za „Utwory dziecięce i pieśni masowe", II nagrodę otrzymali: Tadeusz Sygietyński, Alfred Gradstein, Edward Olearczyk oraz Władysław Szpilman.

Jak widać lista dosyć długa. Jeżeli patrzy się z perspektywy czasu (zresztą dość krótkiego, ale pozwalającego na objęcie ogólne całości usłyszanych utworów na Festiwalu — mam tu na myśli tylko utwory współczesne) to można sobie pozwolić na pewne ogólne stwierdzenia dotyczące całości współczesnej naszej twórczości muzycznej — a przede wszystkim utworów nagrodzonych. Ich charakterystyczną cechą jest dążenie do zerwania z nawykami formalistycznymi i wpływami modernistycznymi, nawrót ku motywom narodowym, ku folklorowi, nawiązanie do tradycji, związanie twórczości z konkretną treścią przy jednoczesnym uniknięciu niebezpieczeństwa schematyzmu. Utwory są silnie przeżyte i odczute, posiadają duży ładunek czystego romantyzmu, czasami patosu („Prorok" Wojtowicza) wstrząsają napięciem emocji („Symfonia Pokoju" Panufnika). Dzięki tym cechom twórczość nasza zyskała na komunikatywności, stała się bliższa odbiorcy.

PRZEJDŹMY teraz do krótkiego omówienia niektórych pozycji nagrodzonych oraz ich autorów.

Bolesław Wojtowicz (ur. 1899) jest laureatem Państwowej Nagrody Muzycznej w 1948 r. Na jego dorobek kompozytorski składają się 2 symfonie, Suita symfoniczna, Poemat żałobny na orkiestrę, Szkice symfoniczne, Kwartet smyczkowy, Concertino na małą orkiestrę, wiele utworów na fortepian oraz 3 kantaty w tym nagrodzona „Prorok".

W „Proroku" nawiązuje Wojtowicz do tradycji wielkich monumentalnych kantat, można doszukiwać się jego genezy w II Kwartecie smyczkowym, ale jedno trzeba stwierdzić: jest to bezsprzecznie najlepszy utwór z dotychczas napisanych przez tego kompozytora, a miejmy nadzieję, że nie stanowi on szczytu jego możliwości. Muzyka „Proroka" doskonale wiąże się z tekstem poetyckim Puszkina, jakby wyrasta bezpośrednio z niego.

Klimat archaizującej polifonii wprowadza w „Proroku" momenty patosu a ogromny ładunek emocjonalny porywa i wzrusza. „Prorok" jest bezwzględnie wybitnym osiągnięciem współczesnej naszej muzyki.

Alfred Gradsztein (ur. 1904) jest autorem szeregu utworów skrzypcowych i fortepianowych. Wśród nich wyróżniają się Mazurki, Scherzo, Kołysanka N. 2, 12 Etiud na fortepian „Homage à Chopin", Capriccio-Valse i Koncert fortepianowy. Z późniejszych jego utworów Adaggio i Scherzo, Preludium i Mazurek oraz Humoreska Nr 3 i Capriccio zostały nagrodzone na konkursach chopinowskich w 1948/49 r. W r. 1949 otrzymał Gradstein nagrodę na Konkursie Puszkinowskim za pieśń „Wieczór zimowy". Ostatnio Gradstein stworzył szereg pieśni masowych, za co dostał w 1950 r. Państwową Nagrodę Artystyczną III stopnia, oraz II nagrodę na Festiwalu Muzyki Polskiej w 1951 r.

Nagrodzona na Festiwalu jego Kantata „Słowo o Stalinie" oparta jest na tekście poematu Władysława Broniewskiego. Kompozytor przy pomocy bardzo prostych ściśle tonalnych środków harmonicznych pogłębił stronę emocjonalną utworu uwypuklając jego patos i osiągając dużą skalę nastrojów. Całość odznacza się wykorzystaniem efektów chóralnych oraz starannością opracowania szczegółów.

Kazimierz Wiłkomirski (ur. 1901) napisał szereg kompozycji. Są to m. in. Symfonia, poemat symfoniczny „Jungfrau", 2 Tria, Kwartet Smyczkowy, Sonaty skrzypcowe i fortepianowe, utwory wiolonczelowe, pieśni i opracowania pieśni ludowych.

Nagrodzona „Kantata Wrocławska" jest utworem o silnym podłożu ideologicznym. Wyraża się w niej patriotyzm autora chcącego podkreślić więź łączącą Ziemie Odzyskane z Macierzą. Język muzyczny kantaty jest żywy i plastyczny, a motyw starej dolnośląskiej pieśni zabarwia jej melodykę liryzmem i bezpośredniością czyniąc ją zrozumiałą dla słuchaczy.

Witold Lutowski (ur. 1913) jest autorem Symfonii, Wariacji symfonicznych na orkiestrę, Sonaty na fortepian, Wariacji na temat Paganiniego na 2 fortepiany, Melodii ludowych, Tria na obój, klarnet i fagot, Uwertury smyczkowej, utworu „Lacrimosa" na głos z organami, 20 kolend oraz szeregu pieśni, (otrzymał I nagrodę F. M. P. w 1951 r.) W r. 1943 otrzymał Nagrodę Muzyczną m. Warszawy.

Nagrodzony „Tryptyk Śląski" jest kompozycją na głos i orkiestrę symfoniczną opartą na 3 ludowych pieśniach śląskich, odznacza się całkowitą swobodą trawestacji motywów ludowych, co nie pozbawia jednak utworu ludowego klimatu. Całość jest pomysłowa i wdzięczna, a pełne wyzyskanie bogactwa barwy orkiestrowej nie pozbawia bynajmniej utworu prostoty.

Kompozytor wykazał tu bardzo twórczy stosunek do folkloru, co niewątpliwie w dużej mierze przyczynia się do rozwiązania zagadnienia narodowego stylu w muzyce nie będąc jednak ostatnim słowem w tym zakresie.

Grażyna Bacewiczówna (ur. 1913) jest znaną skrzypaczką i kompozytorką. Jej dorobek kompozytorski jest duży. Wśród jej utworów największe pozycje to: 2 Symfonie, Uwertura na orkiestrę smyczkową, koncert fortepianowy nagrodzony na Konkursie Chopinowskim w 1948 r. Koncert wiolonczelowy, 3 Koncerty skrzypcowe, Pieśń na głos z orkiestrą wyróżniona na Międzynarodowym Konkursie Olimpijskim w 1948 r., 4 kwartety smyczkowe i wiele innych utworów. W 1949 r. otrzymała Nagrodę Muzyczną m. Warszawy. W 1950 r. Państwową Nagrodę Artystyczną III stopnia oraz I Nagrodę na Międzynarodowym Konkursie w Liége w r. 1951.

Na Festiwalu Muzyki Polskiej Bacewiczówna została nagrodzona za całość swej twórczości festiwalowej. Jej II Symfonia jak również IV Sonata na skrzypce i fortepian świadczą o stałym rozwoju jej talentu i o stworzeniu oryginalnego nieraz bardzo sugestywnego stylu wypowiedzi. Świadczy również o zwrocie ku twórczości bardziej humanistycznej i emocjonalnej oraz o zerwaniu z formalnymi konstrukcjami jej dawniejszych utworów.

Jan Ekier — (ur. 1913) znany pianista w r. 1937 nagrodzony na Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim. W swoim dorobku kompozytorskim posiada m. in. 2 suity góralskie, Uwerturę na orkiestrę symfoniczną, Koncert fortepianowy, Kwartet smyczkowy oraz wiele innych drobniejszych utworów.

Nagrodzone na Festiwalu „Kolorowe melodie" nie są jedynym utworem tego kompozytora sięgającym do folkloru. Jest to jednak utwór stanowiący poważne osiągnięcie w jego twórczości. „Kolorowe melodie" powstały z opracowania na chór i orkiestrę 6 własnych piosenek ludowych wydanych poprzednio na głos solowy i fortepian. Odznaczają się one udanym wykorzystaniem możliwości kolorystycznych i harmonicznych elementów ludowych umiejętnie wbudowanych w całość ciekawą tak pod względem budowy jak i linii melodycznej.

Nie jest to pełne i wyczerpujące omówienie utworów wyróżnionych, do których prawdopodobnie nie raz jeszcze powrócimy przy innych okazjach. Zadaniem tego krótkiego i raczej encyklopedycznego przeglądu było tylko zapoznanie naszych czytelników chociaż ogólnie z zasługującymi na wyróżnienie przejawami współczesnej twórczości muzycznej w Polsce, z jej charakterem i kierunkiem oraz jej czołowymi przedstawicielami.

Z. K.

Z TEATRU KATOWICKIEGO

Sztuka walcząca o moralność

A. N. Ostrowski — „Intratna posada", komedia w 5 akt., przekł. Jerzego Jędrzejewicza, reż. Edwarda Żyteckiego.

KLĘSKA i niepowodzenia w wojnie z Turcją, przewlekła walka o Sewastopol, śmierć cara Mikołaja I, ujawniające się coraz silniej skazy na potężnym jeszcze lecz już pękającym gmachu absolutystycznego ustroju państwowego — wszystko to spowodowało w połowie XIX wieku zrodzenie się poważnej fali dążeń reformistycznych. Jest to równocześnie czas powstawania w Rosji wielkiego kapitału mieszczańskiego, czas, w którym problemy socjalne zaczynają dawać znać o sobie w sposób coraz ostrzejszy. Arystokracja wchodzi w związki z bogatym mieszczaństwem szukając tam pełnych portfeli, zaś bogaci kupcy i urzędnicy pragną się nobilitować i kapitały swych udanych czy prawdziwych uczuć lokują w sercach szlachcianek. Panny dobrze urodzone, w bogatych pałacach mieszczańskich, przeważnie cierpią i pogardzają światem, w który wchodzą. Rodzą się konflikty klasowe, a wachlarz ich jest szeroki. Liberalizm polityczny, społeczny i światopoglądowy inteligencji pochodzenia szlacheckiego — reprezentant postępu — coraz bardziej uświadamia sobie groźną potęgę głupoty stanu urzędniczego, który siadł okrakiem na całym życiu rosyjskim, gniotąc, wyzyskując, ciemiężąc, demoralizując. Obok terroru świadomego, stanowiącego główny element w systemie policyjnego rządzenia, istniał terror tępych, „poczciwych", bezmyślnych łapowników.

Rosyjscy pisarze mają na co patrzeć, mają swoją „komedię ludzką" w rozmiarach znacznie przewyższających wszystko, co działo się wtedy gdzie indziej w świecie. I trzeba to stwierdzić na chwałę literatury rosyjskiej, że umiała w genialnych utworach wielu powieściopisarzy, poetów i dramaturgów ten świat tak prawdziwie, tak realistycznie i bez obsłonek ukazać, że dziś, kiedy stykamy się z twórczością owej epoki z przed stu lat, zdumiewamy się, czując chrześcijańską czystość jej intencji, odkrywając adres jej szlachetnych służb ideowych.

Niestety późno, bo dopiero dzisiaj zaczynamy praktycznie realizować to, do czego bliskie sąsiedztwo powinno nas skłaniać od dawna: poznawać wielką twórczość narodu rosyjskiego, przyswajać społeczeństwu polskiemu prawdziwe i nieprzemijające wartości kultury tego narodu.

TWÓRCZOŚĆ Aleksandra Ostrowskiego należy właśnie do kręgu zjawisk wyżej określonych. Choć sam Ostrowski (1823 — 1886) nie był ani odkrywczy i pierwszy lub jedyny, gdy idzie o problematykę moralno-społeczną swoich czasów, niemniej dramatopisarstwo autora „Intratnej posady" posiada swoją wielką wagę w dziejach literatury rosyjskiej.

„Intratna posada" jest sztuką walczącą o moralność życia publicznego, tak ściśle powiązanego z życiem prywatno-rodzinnym. Walczy tu prawość, szlachetność i postępowość z deprawacją, głupotą i zacofaniem. Walka ta rozgrywa się na płaszczyźnie spraw małżeńskich, więc skomplikowana jest dodatkowo przez element miłości. Sztuka już w chwili rozpoczęcia jest spięta klamrą dramatycznego konfliktu między potentatem urzędniczym, bogatym i wpływowym Wiszniewskim a jego żoną Anną Pawłową, pochodzącą z rodziny arystokratycznej. Wszystkie zabiegi tego arcy- łapownika otaczającego żonę, obcą mu klasowo, zamożnością i przepychem, spełzają na niczym. Anna Pawłowa gardzi nim, znęcając z dumną godnością wybuchy męża gwałtownika, nadaremno usiłującego zdobyć jej miłość. W tej atmosferze burzowej, denerwującej, rozgrywa się właściwa sprawa „Intratnej posady". Jest nią konflikt młodego Żadowa, (będącego krewnym Wiszniewskiego) ze światem łapowników i całym systemem podłości, moralnego brudu i wstecznych, tradycyjnych poglądów, panujących w zgangrenowanym środowisku mieszczańsko-urzędniczym. Żadow przestaje być urzędnikiem Wiszniewskiego, wyzywa świat. W szlachetnym buncie inteligenckiego idealisty jest siła i piękno, zwłaszcza, że wydaje się mu, iż zdobył miłość prostej głupiutkiej mieszczanki, jeszcze nie zatrutej tzw. życiowym realizmem. Bierze się do ciężkich wyczerpujących go prac. Boryka się i walczy. Tymczasem świat ludzi i poglądów, jaki porzucił i któremu wypowiedział bezkompromisową walkę, wali się na niego z siłą kolosa, przygniata go.

Nie może wytrzymać nacisku prosta Polinka, żona Żadowa, przechodzi na drugą stronę frontu, na stronę świata łapowniczego, na stronę oportunistów i wygodnickich, gdzie cenę mają tylko te wartości życia, które imponują każdemu, niezapalonemu ideą, przeciętnemu zjadaczowi chleba: dostatniość, zamożność, stroje, ładne urządzenie się. Żadow staje wobec klasycznego zagadnienia tragicznego, które podbuntowana przez środowisko Polinka każe mu rozwiązać w brutalnej nagłości: albo porzucenie „nie życiowych" głupich ideałów, albo jej odejście na zawsze. Żadow kapituluje. Miłość do żony każe mu stanąć przed Wiszniewskim i prosić go o ponowne przyjęcie na posadę i to na taką posadę, która przyniosłaby duże dochody łapówkowe. Tak by mógł sztukę zakończyć autor pesymista. Żadow, w tym momencie opuszczając scenę, byłby podobny do bardzo wielu bohaterów sztuk dramatycznych, także pisarzy współczesnych, byłby podobny do dr Trencha ze „Szczyglego zaułka" Shawa.

Władysław Brochwicz i Zofia Barwińska w sztuce „Intratna posada" A. Ostrowskiego w Państwowym Teatrze Śląskim w Katowicach.
Fot. Bronisław Stapiński

Ale Ostrowski widział konieczność położenia innego akcentu w sztuce i na tym m. in. polega kapitalność tego rosyjskiego realisty sprzed stu lat. Oto co się dzieje w chwili przykrego kapitulanctwa Żadowa. Wiszniewski w międzyczasie stał się bankrutem i człowiekiem „skończonym", któremu grozi sąd i więzienie. W tym stanie chełpliwie nalgrywa się z klęski Żadowa i jego próśb o protekcję, przeżywając rozkosz z powodu pohańbionej uczciwości idealisty. Teraz jednak następuje niespodziewany zwrot. Żadow wyprostowuje się, poznaje swój błąd. Wraca na pozycje walki, Polinka staje przy nim. Zwycięskich zostawiamy na scenie i wychodzimy z przedstawienia ufni w prawość ludzi, która w ostatecznym rozrachunku nie może ulec złu.

OSTROWSKI jest mistrzem sceny. Siły walczących zmierzył ostro i charaktery działających osób narysował wyraźnie (za wyjątkiem raczej nieudanej Anny Pawłowej). Faktura dramatu jest wielo-płaszczyznowa i bogata. Przeciwstawiony Żadowowi półgłupek Bielogubow, uzyskujący na drodze przypochlebstwa i uniżoności powodzenie i bogactwo w karierze urzędniczej jest szczęśliwy w miłości z Julinką, siostrą Polinki. Bielogubow przeraża widza tym, że nigdy nie będzie wiedział jaką jest w istocie kreaturą, równie jak jego pryncypał a przyboczny Wiszniewskiego wysoki urzędnik Akim Akimycz Jusow. Jednak Ostrowski mimo całej pogardy, jaką miał do tego świata, patrzy nań okiem filozofa.

Państwowy Teatr Śląski w Katowicach wystawił „Intratną posadę" Ostrowskiego w poprawnej reżyserii Edwarda Żyteckiego i w dobrej obsadzie artystów. Reżyser bezbłędnie odcyfrował idee „Intratnej posady", podając dzieło Ostrowskiego bez przejaskrawień.

Po tej linii koncepcyjnej poszła odtwórczość artystów. Na szczególne wyróżnienie zasłużyli odtwórcy ról czołowych. Władysław Brochwicz, którego Wiszniewski miał świetne grymasy twarzy, dygnitarski styl chodzenia, surowość w obejściu i dużą dozę wybuchowej namiętności, reprezentował nie tyle brud łapowników, ile uświęcony system przekonań i morale wielkourzędniczej „carskości". Fakt, że Zofia Barwińska wypadła jako Anna Pawłowa w sztuce słabo przypisać trzeba niewyraźnemu opracowaniu tej postaci przez autora. Stworzona przez Barwińską Anna ani nie umiała prawdziwie cierpieć ani gardzić, ani nudzić się. Dobre, długo pozostające w pamięci typy stworzyli Adam Kwiatkowski (Żadow), Ryszard Wasilewski (Jusow) Zygmunt Rzuchowski (Bielogubow), Janina Morska była może zbyt zamaszysta w roli, wypychającej za mąż swe córy, Kukuszkiny. Zaś z jej córa zagrała Genowefa Wieczorek (Julinka) lepiej od Liliany Czarskiej (Polinka). Czarska nie umiała utrzymać do końca sympatycznej naiwności i prostoty.

Wnętrza i kostiumy Wiesława Makojnika należycie podkreślały różnice istniejące między kilku, ukazanymi na scenie środowiskami.

Z. B.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer Dominik Horodyński, Wojciech Ketrzyński Janina Kolendo Mieczysław Kurzyna Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński Andrzej Micewski Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff Jan Szwykowski

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel 8 80 71 8 80 28 Konto PKO — Nr 1-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne Prenumerata miesięczna 1 80 złotych Kwartalnie 5 40 złotych
Drukarnia Akcydensowa. Warszawa, Tamka 3. Zam. 266/A. 3-B-11712.